№ 33. Warszawa, dnia 6 (18) Sierpnia 1883 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

LITERATURA CZESKA.

Napisał

Wiktor Czajewski.

(Dalszy ciąg.)

Pierwotne zasługi na tem polu należą się Kollarowi i J. Erbenowi, jak również jego następcom. W ostatnich czasach nawet literatura ludowych pieśni czeskich, zbogaciła się szeregiem zebranych w sąsiednich ziemiach.

Morawskie pieśni wydał i zebrał Franciszek Koželucha pod tytułem: „Kytice z narodnich pisni moravskich Valachu", jak również Fr. Bayer były redaktor „Koledy" w Ołomuńcu, który swój zbiorek zatytułował „Radhoszt". Piękny zbiór pieśni czesko słowiańskich opracował Franciszek Bartosz. Co więcej, że Czesi pokusili się i o poezyą innych więcej oddalonych ludów słowiańskich.

Zbiory serbskich pieśni przyswoił S. Kapper, a I. Holeczek bulgarskich.

Widzimy więc, że literatura pieśni ludowych jest bardzo bogato reprezentowana w Czechach.

Największej jednak dla nas wartości będzie niezawodnie zbiór, który wydaje towarzystwo akademików „Slawia" pielęgnujące wszelką literaturę, przedewszystkiem słowiańską. Pierwotne książki, (wychodzące zeszytami i nadal w takiej formie się ukazują), nosiły początkowo tytuł „Narodni pisnie, pohadky, povesti, rsékadla, obyczeje wszeobecné, a zejmena pravni" a w ostatnich trzech zeszytach 1880 i 1881 roku, zmieniły go na „Sbirky prostonarodni". Ukazało się ich dotąd 15 zeszytów, z których pierwsze są już zupełnie wyczerpane, co najlepiej świadczy o ile są pożądanemi. Każdy tom tych „Sbirek", składa się z dwóch zeszytów.

Sama rzecz jest dosyć starannie prowadzoną, ale traci na swojej wartości, gdyż w każdym tomie, są zebrane pieśni ze wszystkich okolic, co stanowi niesłychaną trudność dla studyów i badań etnograficznych.

Ażeby tem lepiej poznajomić czytelnika z tem wydaniem muszę przedstawić podział zrobiony w tej książeczce. Wszystkie pieśni dzieli Redakcya w następny sposób: najpierw znajdujemy pieśni odnoszące się do wieku kawalerskiego i panieńskiego, następnie B) idzie młodość, piękność, radość i szczęśliwa miłość, potem C) wesele, D) pieśni społeczne, które dzielą się na trzy oddziały: pierwszy a) obejmuje żarty, dowcipy, humor i satyrę, drugi b) pieśni wojskowe, trzeci c) stany i sposób życia; wreszcie oddział ostatni E) dzieli się również na dwie grupy, z których pierwsza obejmuje pieśni „świeckie", druga zaś „religijne".

Co do wewnętrznej formy tych pieśni, musimy zanotować, że wiele z tych pieśni spokrewnione są z naszemi ludowemi nie tylko już myślą, ale nawet i formą. Najwięcej takich pieśni możemy napotkać na Morawie, w szczególności zaś kolędy, te zwłaszcza gdzie w nich zwierzęta się cieszą z przybycia Zbawiciela.

Inaczej zupełnie uwydatnia się myśl w kolędzie która w zupełności przypomina nam kolędę „Czym widział na jawie, czy mi się śniło, że koło mej chaty słońce świeciło".

Morawska kolęda rozpoczyna się hasłem: „Powstań, bo gwiazda jasna nad Betlejem świeci, a musi tam coś być." Idą więc w tym kierunku obudziwszy Jura i Wacka, a Janek ma wziąć flet, aby „grać", gdyż mu Maciej będzie na swych dudach „pomagać".

Nie miejsce tu przytaczać kolęda za kolędą, powiem jednak, że jest ich wiele więcej, gdzie ów nasz Kuba, a tutejszy Marcin gra na cymbałach, gdzie Jezus ubożuchny na sianku leży. Wogóle treść ich również bogata, jak naszych kolęd, choć nie ma tu jednak ich tyle i tak prawdziwie pięknych jak są kolędy polskie, ale jak tu, tak tam są między niemi poufałe i mniej poufałe, pobożne i niepobożne.

Więcej jeszcze są zbliżone z naszemi klechdami ludowe powiastki. Tu i owdzie błąkają się zupełnie podobne, a czasami aż do szczegółów. Taką powiastką jest podanie o owej „kozie rogatej do połowy obdartej ze skóry" i nienasyconej nigdy, którą gospodarz wysłał pierwotnie ze starszą córką na paśnik, następnie z młodszą, aż wreszcie sam poszedł paść. Za każdym razem jednak zapytana koza, odpowiadała, że jest niesłychanie głodną.

Gospodarz wierzył bydlęciu i za brak nadzoru zabił swoje córki, aż wreszcie nie mając kogo wysyłać na paśnik z kozą, sam poszedł. I wtedy jeszcze koza odpowiedziała, że jest niesłychanie głodną. Rozgniewany właściciel, począł bić kozę, aż obdarł ją do połowy ze skóry... koza z bólu zerwała się i uciekła z piosenką, czy z przekleństwem: „Ja koza rogata, do połowy obdarta, kogo napotkam, tego podepcze."

Jest to alegorya jakiegoś chciwca nienasyconego...

Są jednak niektóre z nich więcej ogólno słowiańskie, prastare, zasięgające mitologicznych pogańskich podań.

Powieści te obracają się około jednego punktu, dawnych świętych gai, lub około zaczarowanego dębu, co się otwiera na pewne zaklęcia, jak nasze powiastki o „dębie i złocistym kłębie".

Między tą znaczną liczbą więcej znanych powiastek są i inne, miejscowe i do takich musimy zaliczyć legędę o świętym Prokopie, który dyabła-

mi orał, albo po wodzie chodził (str. 113) nie zanurzając się wcale.

Więcej ciekawsze są pamiątki z husyckiej walki, gdzie pokazując dwie ogromne szczeliny w skałach, lud utrzymuje, iż są tu ślady po wozach husyckich, na których wywieziono bogactwa z czeskiej ziemi.

Jedną może z najwięcej zajmujących powiastek ludowych, malujących najlepiej cały stosunek szlachty czeskiej do narodu, będzie podanie o rycerzu Svietlokamove.

Początek opowiadania rozpoczyna się przy Morskiem oku, które jak podanie niesie, nie ma dna zupełnie.

Otóż pewnego dnia przybył tu jakiś rycerz, a napotkawszy przy jeziorze górala, prosił aby ten na niego zaczekał, poczem rzucił się do wody. Długo nie było widać tego człowieka, aż wreszcie wypłynął, wynosząc z sobą torbę z jakiemiś kamykami, z których dwa ofiarował za usługę góralowi. Góral skłonił się i poszedł do domu, a przypuściwszy, że ów rycerz musiał być złym duchem, zakopał kamyki w ziemi. Wkrótce jednak spaliła mu się chatka. Biedny góral przypomniał sobie słowa rycerza, wyjął kamyki z ziemi i udał się z niemi do miasta, aby sprzedać żydowi, który dawał mu znaczne pieniądze. Widząc to góral, pomyślał, że te kamyki muszą mieć większą wartość i poniósł je dalej.

Szedł długo, bardzo długo, aż doszedł do królewskiego dworu; król był bardzo zadowolniony z kamyków i sowicie nagrodził go dobrami, a nawet ofiarował mu dostojny urząd, z górala zrobił się pan wielki, którego zwano Svietlokamovem ale potem, kiedy się warunki kraju zmieniły przechrzcił się ów pan na „Lichtensteina". Bajeczka ta, a raczej podanie najlepiej świadczy jak lud czeski znienawidził panów tych, którzy porzucili i zapomnieli o swojej ojczyznie.

Jak pierwsze tak i następne mają także jakiś wątek łączności z Polską i jeżeli się sama treść nie powtarza, to zawsze wejdzie do niej jakiś obrazek lub nazwisko, które ten wątek nawiązuje.

Są to jednak po większej części bajki polityczne, powstałe w bujnej fantazyi średniowiecznej, a może i dawniej jeszcze pod różnemi uciskami lub dolegliwościami, które lud musiał znosić.

Trudno nam porównywać po kolei wszystkie te powiastki z naszemi lub odszukiwać w nich pierwotnej formy. Nastręczyłby się do tego długi materyał, któryby potrzebował oddzielnego opracowania, gdyż napotykają się tu takie powiastki, że można je zupełnie odnieść do starych mytów greckich, lub też dawnych słowiańskich.

W „Niebieskich wojakach" odbijają się najdawniejsze pierwiastki, czarna chmura w pośród burzy i piorunów, była u staroarian sprzeciwieństwem i zapaśnikiem przeciwko bogu światła, który zawsze pokonywał wroga i dobywał z po za niego swoje (słoneczne) promienie. Widocznie z tej czarnej chmury powstał ten czarny bóg słowiański inaczej czart, który ciągle pozostawał w zapasach z białem bogiem.

Też same pierwiastki powtarzały się wszędzie, u Greków tym dobrym bogiem, z tąż samą rolą był Apollo, w czasach chrześciańskich święty Jerzy, u Niemców Sigfrid, a podług Jędrzeja Lwa nawet i w świecie naszym te postacie się powtarzały, a mianowicie Karol Wielki, Otto Wielki i Fryderyk Rudobrody, Barbarosa, nosili na sobie cechy tych bohaterów. Z tych wszystkich podań urosła niezawodnie owa powiastka „Niebieskich wojaków". A to co się opowiadało o wielkich niemieckich rycerzach, oswobadzających z różnych nieprzygód swoje ludy, toż samo w czeskiej powieści powtarza się o Blanickich rycerzach i Niebieskich wojakach. Podanie to, i powiastka ta musi być bardzo dawna. Wszakże my mamy ją u siebie, zna je każde dziecię. To podanie o Krakusie zabijającym smoka nie jest nic innego, jak wytwór tejże fantazyi, na którą składały się jedne i też same pierwiastki.

(*D. n.*)

Modlitwa.

Boże! jednem skinieniem myśli Rodzicieli
Każesz z pyłu powstawać albo ginąć światom;
Dla *Ciebie* wieki chwilą, wszechświat drobny atom;
Uwielbiam *Cię o Panie!* boś Święty! boś Wielki!

Gdzież darów *Twych* granice? W cóżby się powinny
Obrócić ludzkie czyny, bez skarbów *Twej* łaski?
Ty zsyłasz szczytne myśli i słoneczne blaski;
Dzięki *Ci* składam *Panie*, boś jest Dobroczynny!

Ty w nas umacniaj ducha, gdy słaby i drżący,
Nadzieją w przyszłość lepszą natchnij lud *Twój* wierny,
Wysłuchaj prośby nasze, boś jest Wszechmogący!

Nie chciej, błagamy *Ciebie*, grzeszni i błądzący
Wyrokiem sprawiedliwym karać świat obszerny,
Lecz przebacz jako ojciec, boś jest Miłosierny!...

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Rozstrój moralny Zbigniewa nie uszedł uwagi lokaja Marcina głównego powiernika jego wybryków. Spostrzegłszy, iż pan po rozmowie z ciotką, przez trzy dni całe nie widział się z nią wcale, zrobił wniosek, że się pogniewali. Domyślał się czegoś, przeczuwał, przewąchiwał, a był bardzo ciekawy, pragnąc więc rzecz lepiej zbadać, gdy Zbigniew zasiadł rano do herbaty, którą zwykle sam pijał, rzekł krzątając się po pokoju:

— Dziś bardzo piękna pogoda, czy jaśnie pan nie ma zamiaru użyć konnej przejażdżki, tobym przygotował odpowiednie ubranie.

— Nie wiem... — odrzekł Zbigniew biorąc jedną z książek leżących na stole.

— Myśli z książką się bawić — pomyślał Marcin — widać coś mu niezwykłego dokuczyło.

Zbigniew bezmyślnie przekładał kartki, Marcin przerzucił po nim oczami i znów odezwał się:

— Starsza jaśnie pani z panną Walentyną...

— Czy także konno wybierają się na wycieczkę? — zapytał Zbigniew z nietajonem szyderstwem.

— Powozem jaśnie panie mają zaraz wyjechać po niadaniu.

— Szkoda, że nie konno—odrzekł Zbigniew — szczególniej panna Walentyna ładnieby się przedstawiła jako amazonka.

— Oho! mam cię! — pomyślał Marcin a głośno zaraz rzekł: — Od kilku dni około naszych okien widuję codziennie przejeżdżającą konno jakąś amazonkę i nie mogę się jej napatrzeć tak pięknie wygląda. Śliczna, że aż oczy bolą patrzeć na nią a jaka postawa, jaka figura...

— No, no — odezwał się Zbigniew z uśmiechem — musi to być coś naprawdę niepospolitego kiedy ją tak wychwalasz, bo ty hultaju masz gust także niepospolity.

— Proszę jaśnie pana, w służbie dworskiej to wszystko się przyda — odrzekł Marcin z uśmiechem — służba wszystkiego wymaga...

— Wiem o tem i o tem wiem także bardzo dobrze, żeś filut nad filutami—przerwał Zbigniew.— Ale mniejsza o to, ta wykryta przez ciebie amazonka zaciekawiła mnie.

— Gdyby ją jaśnie pan raz zobaczył tylko, toby przyznał, że to kwiatek godny choćby królewskiego spojrzenia.

— Cóż to za jedna?

— Nie wiem jaśnie panie, ale nie musi to być nic nadzwyczajnego, bo jeździ z nią berejter z ujeżdżalni, Dulski.

— Znam tego starego hułana, baran bo baran, ale jeździec doskonały.

— Zapewne i dziś będzie przejeżdżać, za godzinę najdalej — odrzekł Marcin spoglądając na zegarek.

— To przygotuj mi ubranie, koń także niech będzie gotowy.

Marcin polecenie wykonał a zaraz małego chłopca wyprawił do państwa Klemensów Bardzkich, z karteczką, na której ołówkiem było nakreślone: *dziś przed południem.*

W godzinę później Zbigniew siedział na ganku z cygarem i książką, pod osłoną markizy i niby czytając na ruch uliczny dawał pilne baczenie. Wkrótce pokazała się jadąca konno amazonka na ślicznym karym rumaku, którego rwącą niecierpliwość powstrzymywała zręcznie zgrabną rączką w białej rękawiczce. Była to Zosia Bardzka w całym blasku młodości i urody. Twarz zarumieniona ślicznie odbijała przy czarnem tle jej ubrania, a powiewający od kapelusza woal, nadawał jej postać jakby nieziemskiej istoty, mającej co chwila rozwinąć skrzydła i wznieść się jak orzeł lub anioł po nad szczyty ziemskiego padołu.

Gdy nadjechała tuż pod ganek, koń jej zestrachał się i uderzony pejczą, wspiął się skręcając wprost ku Zbigniewowi. Zosia nie straciła przytomności, koń uspokoił się, pogalopowała dalej, a Zbigniew wybiegł z ganku i kazał podać wierzchowca.

Marcin zatarł ręce i szepnął w myśli:

— Otóż i rybka połknęła przynętę. Faterek bałwan do niczego, ale pani Justyna sianem się z interesu nie wykręci, jeżeli chce aby ryba do wody nie uciekła. Co z tego wypadnie to w tem jej głowa nie moja.

Pobiegł do niej natychmiast niby z wyrzutem, że mu panna Zofia ogromnego narobiła kłopotu. Pani Justyna śmiała się, żartowała, później coś długo z sobą szeptali, naradzali się, sprzeczali, aż

wreszcie w najlepszej harmonii rozeszli się i Marcin pobiegł do pałacu.

Zbigniew wprędce dognał Zosię jadącą tylko pod opieką berejtera, człowieka już niemłodego, którego nogi zgięte w kabłąk i mina dziarska wojskowa, zdradzały starego hułana. Znał dobrze Zbigniewa, powitał go z wielką życzliwością i zaraz rozpoczął gawędę, naturalnie o koniu jego, bo na inną treść nie wiele posiadał zasobu. Zbigniew poprosił o przedstawienie go Zosi, nastąpiło zaznajomienie, rozmowa najprzód arcy poważna, później więcej ożywiona, kraszona wesołością Zosi i grzecznościami Zbigniewa, jakby w najpierwszym salonie a nie na przejażdżce konnej pod opieką wojaka, który tak się do niej nadawał jak wół do karety.

Podobne spotkanie jeszcze się parę razy powtórzyło, Zbigniewowi, jak Marcin utrzymywał oczy tonęły w spojrzeniach panny Zofii, a buzia jej rozkwitała różami, przy których nawet płomień bladym się wydawał. Istna to była czarodziejka! Gdy spojrzała z oczów jej czarnych, błyszczących jak brylanty, zdawały się wybiegać błyskawice rozdzierające chmury burzy, gdy się uśmiechnęła z twarzy jej tryskały jakby promienie jutrzenki zapowiadające zbliżenie się słońca, w każdej kropelce rosy drżącego blaskiem w niej rozpalonym. Głos jej słodki, melodyjny, pociągał harmonią jak pieśń urocza, a gdy lica okrasił rumieniec zdało się, że rozkwita na nich legendowy kwiat paproci do którego młodość tak chciwie ręce wyciąga.

Zbigniew szczególnym był wielbicielem piękności. Pociągał go widok ładnej okolicy, strój powabny, sprzęt misternie wyrobiony, malarstwo, rzeźba, muzyka, nawet poezya z zapałem wypowiedziana, bo na czytanie czasu mu nigdy nie starczyło. Mieszkanie jego wytwornie umeblowane, z pięknością prostoty zawsze pociągającej, pełne było drobiazgów, cacek, obrazów, sztychów, których wybór każdy chwalił a nikt nie przyganił, ubiór równym zalecał się gustem, był nie wyszukany a jednak zwracający uwagę.

Największym jednak wielbicielem był ładnej kobiety, wobec której zapominał o wszystkich innych zachwytach, uważając je za drobnostki żadnego nie mające znaczenia. Znawca jakich mało, umiał z umiejętnością najwytrawniejszych artystów starożytnych i nowożytnych, według linii i cyrkla, ocenić wszystkie szczegóły jej urody, kibić, figurę, postawę wdzięk, regularność rysów, harmonią koloru włosów, oczów i cery i domyślać iskry życia, ukrytą pod tą zewnętrzną powłoką.

We wszystkich dotąd tak anatomizowanych przez niego pięknościach, wykrywał pewne braki, niedostatki, nieharmonijność szczegółów, pierwszem dopiero skończonem arcydziełem wdzięku wyrzezanem przez naturę a podniesionem przez wychowanie, uznał pannę Zofię Bardzką. Od pierwszego też poznania przylgnął do niej oczami, codziennie wyjeżdżał na jej spotkanie, wyczekiwał go z widoczną niecierpliwością, z cygarem w ustach buchając kłębami dymu, przechadzał się po pokoju, przystawał na ganku, wypatrywał przez lornetę, a jak tylko dojrzał jadącą Zosię a obok niej Dylskiego, zaraz wydawał rozkaz podania sobie konia. Zosia zawsze przyjmowała go z przyjaznym uśmiechem, Dylski z radością, a gdy między młodemi za każdem spotkaniem coraz żywsza zawiązywała się rozmowa, Dylski nie mogąc jej dosłyszeć pokręcał tylko wąsa, a gdy rzucił jakie zapytanie i na odpowiedź daremnie czekał, mruczał pomiędzy zębami:

— Pani Bardzka dopiero się ucieszy, gdy jej powiem, jakiego dla jej Zosi ściągnąłem adonisa, bo że się w niej panicz rozszalał to widoczne jak na dłoni.

Ale na pani Justynie wiadomość ta zupełnie przeciwne wywołała wrażenie. Pod wielkim sekretem mając ją sobie przez starego hułana udzieloną, jako niespodziankę bardzo miłą i wielkiego znaczenia, zawołała z oburzeniem:

— A to mi dopiero niespodzianka! A niech pana wszyscy dyabli wezmą z takiemi niespodziankami..

— No, no, a to co nowego? — mruknął Dylski zbity z tropu.

— Ufając jego wiekowi i rozsądkowi — mówiła dalej Justyna głosem podniesionym — sądziłam że w wycieczkach konnych Zosi z polecenia doktora dla jej zdrowia robionych, znajdę w panu dla niej ojca, a dostałam gapę...

— Gapę! — powtórzył Dylski — saprysti! To moja imość nie przelewki!

— Tak jest gapę — potwierdziła Justyna — gapę, gapę...

— Saprysti! Imość miarkuj swoje wyrażenia...

— Co mi tam znaczy pańskie saprysti — wrzasnęła Justyna, z dosyć udanym gniewem — ja wiem tylko tyle, że tak młodej panience jak Zosia nie wypada zaznajamiać się z nikim po za domem rodzicielskim. Gdyby to jeszcze był jaki poważny człowiek, to już mniejsza, ale taki panicz, furfant...

— To nie żaden furfant, mościa dobrodziejko— odezwał się Dylski — ale bogaty panicz, familiant herbowy a hojny jak prawdziwy pan z panów.

— Dlatego też, że pan to moja Zosia nie dla niego — odrzekła Justyna — proszę więc odtąd jeździć za rogatki pragskie ku Jabłonny, albo kwita z naszej przyjaźni.

— Za rogatki pragskie? — zapytał Dylski z największem zadziwieniem. — Ależ tam psa porządnego nie spotka a cóż dopiero człowieka.

— Ja też tego pragnę — odrzekła Justyna — bo nie chcę, żeby moje dziecko kompromitowało się znajomościami zbieranemi po drodze jak dziad z żebraczą torbą.

Dylski pokręcił wąsy, a Justyna odchodząc dodała jeszcze:

— Za rogatki pragskie będzie odtąd jeździć, albo kwita z naszej przyjaźni, rozumiesz acpan? A to mi dopiero opiekun!

Stary hułan rzucił spojrzenie za odchodzącą, mruknął swoje przekleństwo: saprysti i dodał:

— A to baba herod, dyabłom kazała mnie porwać, nazwała gapą i dała marszrutę na pustkowie. A tom się doczekał pięknego awansu i komendy, ze sztabu fartuchów i spódnicy.

Wycieczki konne odtąd rozpoczęły się w przeciwną stronę Warszawy, według planu ułożonego na naradzie Justyny z Marcinem, który codziennie zachodził do kawiarni i opowiadał wszystko co się działo w pałacu. Gdy na drugi dzień Zbigniew nie doczekał się Zosi, znudzony próżnem wyczekiwaniem, sam przegalopował po wszystkich drogach, na których zwykle rozkoszował się towarzystwem powabnego dziewczęcia i wrócił do domu zły i rozgorączkowany. Na drugi dzień powtórzyło się to samo, rozgniewany zawodem nie mógł wytrzymać i oddając konia polecił Marcinowi, aby się dowiedział co się dzieje z panną Bardzką, którą już dwa dni nie widział.

— Czy nie zasłabła przypadkiem? — rzucił pytanie.

— Ej! nie jaśnie panie — odrzekł Marcin — zdrowa jak rybka, widziałem ją wczoraj, tylko ten gamoń Dylski wygadał się przed matką o jaśnie panu, a to baba kuta na cztery nogi, zgniewała się okropnie na starego paplę i kazała jeździć ku Jabłonnie, żeby się z jasnym panem nie spotykano.

Na drugi dzień już na drodze przed rogatkami Zbigniew doczekał się przyjazdu Zosi. Powitała go z uśmiechem i nietajoną radością, podała rękę a Dylski zaraz się odezwał:

— Jakież to szczęście, że pana spotykamy. Już dwa dni błąkamy się po tem pustkowiu jak Marek po piekle, panna Zofia posmutniała, ja z nudów zmizerniałem, a wszystko przez te przesadzone ceregiele od których mi aż w gardle gorzko jak po piołunówce. Bodaj to dyabli porwali, kiedy gęś chce udawać pawia i starych hułanów gapiami nazywa. Patrzcie no jaka mi kokoszka z czubkiem na głowie a z głupstwem za pazuchą. Ho, ho! żeby to tak z mężczyzną, nauczyłbym go moresu i rozumu, ale z babą wojować językiem to nie moja broń, na jedno moje słowo sto sypnie jak z rękawa i wojujże tu z taką czeczotką. Co to babie może szkodzić, że się młodzi z sobą poznajomią, pośmieją, poszczebioczą? Kompromitacya! Wielkie słowo, gdyby to z jakim hołyszem, co na piechotę wyciera bruk warszawski to co innego, to byłaby kompromitacya, ale z takim panem z panów, co konie ma wierzchowe czystej arabskiej rasy i byle habety, z porwanemi nogami nigdy nie dosiędzie, to jaka może być kompromitacya!

Dylski jeszcze długo tak sam z sobą gawędził, mruczał, szeptał, uśmiechał się zadowolony, że stało się tak jak pragnął, a młodzi zajęci z sobą rozmową najmniejszego na to nie dawali baczenia.

Wycieczki podobne znowu się coś w tydzień powtórzyły, Zbigniew był wesoły jak rzadko, Zosia rozpromieniona, a Bardzka dobrze udawała, że tej zmiany w córce nie spostrzega, chociaż świadoma była dobrze wszystkiego.

Po upływie jednak tygodnia uznała, że już czas zakończyć te schadzki tajemnicze i udając, że ją doszła wiadomość, że znów ktoś przyplątał się do Zosi, wykrzyczała najokropniej Dylskiego a córce oświadczyła stanowczo, że jej już samej z domu na krok nie wypuści, skoro tak małe na siebie daje baczenie i z byle kim wchodzi w znajomości.

— Ale to mościa dobrodziko nie z byle kim — odezwał się Dylski — bo...

— Ej! co mi tam pan bzdurzysz — przerwała rozłoszczona Bardzka. — Jak się zwał to się zwał ja tam tego nie ciekawa, domyślam się tylko, że to jakiś pstrokacz pański, moja Zosia gęś, a pan opiekun od siedmiu boleści i ósmego smutku.

— Albo to prawda! — odezwał się Dylski głosem podniesionym, ale pani Justyna trzasnęła drzwiami i wyszła z mieszkania.

— No, no — mruczał dalej — od ósmego smutku... pstrokacz pański, czyby to znaczyło, że ma pstro w głowie? Otóż dymisya i bez awansu, taka to zawsze z babami sprawa.

Zbigniew o scenie tej natychmiast dowiedział się od Marcina. Z gniewu, że mu się tak szyki popsuły, ścisnął pięście, bo oporu w niczem znosić nie umiał i tylko giął się przed wolą ciotki, przeszedł się niespokojnie po pokoju, zasiadł w ganku, wziął się do książki, wreszcie ułożył schadzkę z Zosią w kościele i przygotowanie jej powierzył swemu powiernikowi. Nie przyszła jednak do skutku, nie zgadzało się z manewrami Justyny.

Nie pozostało więc nic innego jak poznajomienie się bliższe z Bardzkiemi.

Tego właśnie Justyna pragnęła, Zbigniew w towarzystwie jednego ze swoich przyjaciół, wtajemniczonego we wszystkie jego wybryki i równie brykać lubiącego, poszedł raz do kawiarni, zbliżył się do pani Justyny i ze zręcznością właściwą sobie, prowadząc rozmowę to o tem to owem, napomknął o poznajomieniu się z Zosią w konnych wycieczkach, o szczególnem dla niej uwielbieniu, dla jej edukacyi, zręczności w jeździe i że radby bardzo złożyć jej swoje uszanowanie i usłyszeć śpiew, który jak się domyśla musi być zachwycający.

Naturalnie Bardzka nie wynosząc zbytecznie przymiotów swojej córki, zgodziła się chętnie na spełnienie tak grzecznej prośby i Zbigniew został zaprowadzony do mieszkania. Zosia o niczem nie wiedziała, nie była wtajemniczona w usnutą intrygę a znajomość ze Zbigniewem zdawała się urzeczywistniać, wszczepione w nią prawie od dziecka nadzieje.

Młody człowiek spodobał się jej bardzo, płochy motyl na motylku z tak przewróconą główką musiał wywrzeć silne wrażenie, zadurzyła się też w nim jak to mówią, od pierwszego spotkania, a gdy przestała go widywać, zaczęła tęsknić, smucić się i buzię chmurzyć niezadowoleniem.

Zobaczywszy też wchodzącego Zbigniewa, krzyknęła jakby przestraszona i podając mu obie rączki przeprosiła za to niezgrabne, mimowolne znalezienie się.

Zbigniew był uszczęśliwiony, Zosia również, a gdy pani Justyna siadła na boku, zajmując się rachunkami, młodzi rozpoczęli z sobą gawędkę po większej części w języku francuzkim prowadzoną, której matka nic a nic nie rozumiała. Nic ją to nie kłopotało, była przy nich to dosyć i to zupełnie ją zadawalniało.

Później młodzi zasiedli do fortepianu, grali wspólnie na cztery ręce, śpiewali, uśmiechali się, wpatrywali się w siebie z uśmiechem bardzo wymownym. We wszystkiem tem nic nie było nagannego, ale nie wszystko mogło się każdemu podobać. Rozbrzmiewał tu jakiś akord fałszywy, jakaś nuta harmonią burząca, niby eteryczna pieśń o raju ale strojnym w same kwiaty ziemi.

Pani Justyna nie była idealistką, ukradkiem spoglądała na córkę i Zbigniewa, śledziła bacznie co robią i mówią i cieszyła się, że wszystko idzie według jej myśli.

Wreszcie wizyta skończyła się, rozchodząc się Zbigniew utkwił spojrzenie w Zosi a ta z oczami spuszczonemi, z zarumienioną buzią, żegnała go z widocznym żalem.

Odtąd spotykania młodych bardzo się często ponawiały, Justyna pilnowała, Zosia marzyła, Zbigniew szalał, ale pojmował, że w matnią w jaką wpadł, małżeństwo z Zosią było nieuniknione. Jak tu się jednak żenić z panną bez posagu, którego tak gwałtownie potrzebował?

Namysł trwał krótko, postanowił ożenić się z Walentyną, a potem...

— Zobaczymy — szepnął w myśli, rozważając swoje położenie. — Zosia musi być moją, co chcą to mieć będą, narzucona mi żoneczka niech się cieszy zdobyczą tytułu, ciotka spełnieniem swego postanowienia a ja uzyskaną swobodę w której przestanę być manekinem cudzego despotyzmu.

Jest to konieczność, której czuję, że uledz muszę, nie moja w tem wina. Fatalność, los, czy jakaś nieznana siła, rządzi ludźmi i pędzi jak liść gnany wichrem.

Zbigniew był zdolny, posiadał zarody przymiotów, które odpowiednio wyrobione, dačby mu mogły znaczące stanowisko. Zaniedbane weszły na rozdroża, materya z duchem wystąpiły z sobą do zażartej walki i materya podsycona strzępkami wiedzy w proch ścierającej wszystko co wymyka się z pod powagi zmysłów, nad duchem wzięła przewagę. Nie było to zwycięztwo ostateczne, pojęcia wrodzone i wszczepione przez wychowanie jeszcze często głos w nim podnosiły i wstrząsały sztucznem rusztowaniem nabytych odłamków wiedzy luźnie pochwytanych, ale głosowi temu brakło odpowiedniej potęgi, aby go otrzeźwić i przekonać że na błędnej znajduje się drodze. W takich też razach Zbigniew zmęczony szamotaniem się własnych myśli, szalał i w świecie szukał ochłody i wytchnienia.

Upamiętania się jego co do Walentyny, p. Smirska była pewną, powrót ten do dawnych posiedzeń przyjęła bez zdziwienia.

Walentyna powitała go z radością siostry i z największą prostotą zaczęła go wypytywać co porabiał przez dnie, w których był dla nich zupełnie niewidzialny. Nie było w tem żadnej ukrytej myśli, prosta grzeczność i nic więcej, pamięć na życzenie ciotki, aby go wabić do domu a nie odstręczać.

Zbigniew jednak inaczej to sobie wytłomaczył, korzystniej dla swojej osoby i z całą galanteryą salonowego szermierza, w obejściu z Walentyną starał się pochwałą zręcznie wypowiedzianą, nawet małem pochlebstwem, skarbić jej życzliwość. Zmiana ta w dotychczasowem postępowaniu Zbigniewa, acz bardzo mała i nieznaczna, nie uszła uwagi p. Smirskiej, Walentyna spostrzegła ją także i ucieszyła się, ale nie ze względu na siebie tylko na ciotkę.

Rozpoczęło się więc odgrywanie komedyi, Zbigniew udawał zalecanki, Walentyna, że je chętnie przyjmuje. Zbigniew spoglądał na pannę jak na wór złota, którego tak pożądał, Walentyna na niego jak na tego, którego pragnęła ciotka do siebie przywiązać, a p. Smirska na oboje, jak matka na oblubieńców w których szczęście własne położyła. We wzajemnem tem okłamywaniu się, Walentyna szła za uczuciem przywiązania do stryjenki, Zbigniew za trawiącą go żądzą, p. Smirska pod sztandarem zasad w których nieomylność szczerze wierzyła.

Była rzeczywiście, jak Zbigniew utrzymywał, jakaś fatalność w tym pochodzie po błędnych drogach, w końcu których widniała już przepaść. Ofiary ku niej posuwały się krok za krokiem, wolno, majestatycznie, jak kondukt pogrzebowy, brakło tylko dzwonu, ponurym dźwiękiem brzęczącego nad trumną umarłych.

Zbigniew w odgrywaniu przybranej roli postępował bardzo umiejętnie, starał się być ujmującym ale nienatarczywym, bywał częściej niż zwykle, ostateczny jednak wypadek odkładał, opóźniał o ile mógł, pod różnemi pozorami. Walentyna nie domyślając się niczego, ciesząc się zadowoleniem ciotki, powróciła do dawnej wesołości i swobody, a zapytywana o Zbigniewa, wyrażała się o nim jak najprzychylniej z pewną niemal radością, że ma braciszka, którym przed światem pochlubić się może.

Pani Smirska chłodne to uczucie korzystniej sobie wytłomaczyła, a nawet w postępowaniu Zbigniewa nie upatrywała przymusu, tylko powrót do rozsądku i upamiętania się.

Było to dla niej zupełnie wystarczające. Znała tylko rozum i jego kombinacye, uczucie dla niej było zupełnie obce. Że zaś Zbigniew za najważniejszy powód ociągania się z oświadczeniem Walentynie, dawał niepewność jej przychylności dla siebie, postanowiła rzecz tę sama ostatecznie załatwić.

(*D. c. n.*)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

Na słowa te, między stronnikami wojewody zawrzało jakby w kotle, ba nawet niektórzy z gorętszych dobyli szabel, by rzucić się na tego, który tak śmiało swe zdanie objawił, lecz reszta zgromadzonych idąc za zdaniem pana chorążego, poparła go i malkontentów zmusiła do milczenia. Po zamknięciu narad i spisaniu instrukcyi, która znaczną większością głosów przyjętą została, przystąpiono do wyboru deputatów. Burzliwą była ta czynność, Górszczanie wszelkie siły natężyli, aby swoich kandydatów przeprowadzić, lecz pobici na wszystkich punktach, uczuli się bezsilnymi do prowadzenia dalszej walki. Wyszli też z urny wyborczej jako deputaci z województwa Lubelskiego na sejm konwokacyjny: książę Jan Siemion i Aleksander Słuccy, Prandota Dzierżek, Jan Stoiński, Seweryn Gryf Chamiec i Marek Sobieski, który po raz drugi już w tym roku, wymową swoją i energią zdziwił, że tłumy roznamiętnionej szlachty, poszły za głosem rozsądku.

Wojewoda Górka słysząc kto na deputatów obranym został i przekonawszy się, że z partyi jego nikt ani głosu jednego nie uzyskał, w najwyższym uniesieniu porwał się z siedzenia i zakrzyknął:

— Podli! nikczemni! służalcy! a jakąż to sumą pan kanclerz kupił sobie wasze głosy? i ja o wiele większą summę rzucę wam w oczy! nędzna przedajna tłuszczo! Lecz jakiem żyw i jestem Górką, przysięgam wam na wszystkie potęgi nieba i piekieł, że sejm konwokacyjny zerwę i do elekcyi króla nie dopuszczę dopókąd Zamojski ten violator praw szlacheckich z urzędów złożony nie będzie i dopókąd sprawiedliwości nie stanie się zadosyć! Zaś przeciw wszelkiej tu dopełnionej czynności zakładam Veto!

— Precz z nim! precz z tą żmiją! — ozwały się nagle liczne bardzo głosy i z obydwóch stron wśród niesłychanej wrzawy zabłysły szable. Już nawet stronnicy Górki otoczywszy go zwartym murem rzucili się na przeciwników, a nawet rozległ się dźwięk ścinających się szabel, gdy nagle od wielkiego ołtarza rozległ się potężny głos intonujący: „O Salutaris".

Był to O. Bernard, który usłyszawszy z zakrystyi co się dziać poczyna, ująwszy za puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, znajdującą się w kaplicy św. Krzyża, w otoczeniu kilku zakonników z jarzącemi świecami wszedł do kościoła a stanąwszy przed wielkim ołtarzem, jakby zażegnując wybuchłą burzę Hymn powyższy zaintonował. Zapaśnicy usłyszawszy głos O. Bernarda

i ujrzawszy go nadto jak stojąc na stopniach ołtarza wysoko podtrzymując puszkę ku zgromadzonym się zwrócił, wypuścili z rąk szable i padłszy z pokorą na kolana potężnym chórem wraz z kapłanem śpiewać poczęli. Górka tylko stał nieruchomie blady i drżący z gniewu, który wnętrzności mu szarpał. Stojąc tak i błyskawiczne spojrzenia miotając na klęczące tłumy, usta jego wykrzywił dziki szyderczy uśmiech, a nawet zadrgały mu już wargi, by bryznąć jakiemś bluźnierstwem, lecz w chwili tej usłyszał tuż za sobą dobrze mu znany głos Marka Sobieskiego:

— Mości wojewodo! uklęknij, bo za nic nie ręczę, oczy wszystkich są zwrócone na ciebie!

Wojewoda, wstrząsnąwszy się jakby go żmija ukąsiła i przekonawszy się o prawdzie słów mówiącego, padł na kolana, jęknąwszy rozpaczliwie.

Po prześpiewaniu hymnu i udzieleniu błogosławieństwa, O. Bernard zaintonował: Te Deum! po czem, a było to już dobrze pod wieczór, wszyscy tłumnie i w milczeniu świątynię Pańską opuszczać poczęli.

Po powrocie wojewody Górki do mieszkania przezeń zajmowanego, gwarnie i tłumnie tam było. Przy stołach obficie zastawionych mięsiwem i sporemi dzbanami wina, zgłodniała szlachta trzymająca się jeszcze wojewodzińskiej klamki, zasiadłszy rozprawiać poczęła o wypadkach dnia całego, a z ubywającemi dzbanami wina, przybywał jej animusz, który wnet zamienił się w służalcze hołdy składane wojewodzie, siedzącemu przez ciąg całej biesiady w ponurej zadumie.

— I to jest ta szlachta, — mruczał przez zęby wojewoda — która ma stanowić o losach kraju! I to są przedstawiciele narodu, którzy jak tłuszcza bezmyślna, porwana wymową, ba nawet słówkiem jednym wypowiedzianym przez lada warchoła, przyklaskuje mu i zapominając o dobrodziejstwach jej wyświadczonych, staje przeciw temu, który obsypał ją dobrodziejstwy i z błota w którym się nurza podniósł na wyżyny swego stanowiska. I ja, ja Górka ustąpić musiałem, ja potomek rodu w całej Polsce nie mającego sobie równego, i przedkimże to? i któż to odniósł tryumf nademną? Ha, ha, ha! syn wójta Pilaszkowickiego! Niedługo jednak cieszyć się będziesz tym tryumfem, dziś zwyciężyłeś mnie, lecz niebawem nadejdzie ta chwila w której tryumfu tego gorzko pożałujesz! Hej! Brzózka, — zawołał głośno wojewoda, podnosząc się nieco na siedzeniu — czyż już Górka tak bardzo skapcaniał, że niestać go na lepsze wino jakie przed nami postawiłeś? Prędzej! Alikantu i Małmazyi dawaj sam! Wszyscy jak widzę na animuszu potracili od chwili jak pan chorąży nazwał nas zdrajcami! Lecz nie smućcie się tem panowie bracia, Górka obelgi wyrządzonej jemu i jego przyjaciołom nigdy nie zapomina i prędzej czy później krwawo za nią się odpłaca! Pijmy więc i na pohybel wrogom naszym! Zdrowie waszmościów!

— Niech żyje nasz pan i dobrodziej! — huknęła szlachta już i tak trochę podchmielona a która teraz dopiero na dobre pić zaczęła idąc za przykładem wojewody, który jakby chcąc zalać miotające nim żądze, wychylał puhar po puharze rozpalającego Alikantu.

W tem nagle do izby biesiadniczej w której gwarniej było niż w ulu, wpadł zadyszany Brzózka z niezmiernym pośpiechem i zbliżywszy się do wojewody szepnął mu słów parę. Wojewoda na razie, zatrząsł się i zbladł z oburzenia, lecz po chwili krew uderzyła mu do głowy i czoło i twarz cała pokryła się szkarłatem. Przyczem jakby nadludzką siłą podrzucony zerwał się z siedzenia.

— Łżesz! — zawołał wojewoda.

— Wasza wielmożność przekona się czy prawdę mówię — odparł Brzózka, wskazując ręką na drzwi, przez które do izby biesiadniczej wchodził Marek Sobieski chorąży nadworny w towarzystwie Prandoty Dzierżka i kilku dworzan.

— Pokój temu domowi! — ozwał się Sobieski, wszedłszy do izby, a zatrzymawszy się chwilę u drzwi, wzrokiem szukał gospodarza.

Na głos ten, wrzawa biesiadników umilkła i wszyscy z podziwem i wyczekiwaniem spoglądali to na przybyłego, to na wojewodę, który stał nieruchomie obok krzesła na którem przed chwilą siedział.

Na obliczu jego, widać było jak straszną walkę staczać musiał, mając przed sobą i to w własnym domu tego, który publicznie zdrajcą go nazwał. Po chwili jednak namysłu, wojewoda ruszył z miejsca postępując naprzeciw przybyłego a witając go skinieniem ręki, rzekł drżącym głosem:

— Cóż za nieprzewidziana okoliczność sprawia, że mam cześć powitać waszą miłość u siebie?

— Okoliczność ta, że jako dobry chrześcianin,— odparł Sobieski — nie mógłbym usnąć spokojnie, wiedząc, że ktoś żal ma do mnie. Otóż aczkolwiek nie tylko nie proszony lecz może i nie pożądany, przyszedłem aby waszej miłości nie wytłomaczyć się, lecz dać mu najzupełniejszą kondolencyą! Wiem, że krokiem tym narażam się może na nieprzewidziane niebezpieczeństwo, lecz sądzę, że wchodząc pod dach waszej miłości jestem również pewny jak u siebie!

— Mości panie chorąży! — zawołał Górka — jeszcze nigdy się to po mnie nie pokazało, aby gość przekraczający próg domu mego, chociażby nawet był i najzawziętszym wrogiem, doznał jakiejkolwiek krzywdy. Umiem uszanować prawa i święte zwyczaje gościnności praojców naszych! Witaj mi więc mości chorąży i bądź mi pozdrowiony!

Mówiąc to Górka podał Sobieskiemu rękę i wskazując na obok będący stołek, zaprosił by usiąść raczył.

— Rad jestem wielce, — mówił Sobieski siadając — żem zastał u was tak liczne grono panów braci, bo nie kryjąc się nigdy z czynami memi, ani też z moim postępowaniem, nie chciałbym, aby krok mój obecny na niekorzyść moją był tłomaczony. Tak wy mości wojewodo, jako też i zgromadzeni panowie bracia, znacie mnie, że do każdego celu dążyłem i dążę zawsze i wszędzie drogą prostą i otwartą. To com dziś w czasie obrad wypowiedział było wynikiem tej dążności, głębokiego namysłu i poczucia obowiązków prawego syna ojczyzny. Opierając się skutecznie wnioskowi waszemu mości wojewodo, udowodniłem, że wszelka prywata jest mi obcą, i że w przededniu chwili w której stojemy, dobro ojczyzny wyżej cenię niż widoki osobiste. Sądzę więc też, że i wy panowie bracia wystąpienie moje nietylko nie potępicie lecz uznacie za właściwe. Zgadzając się na wniosek wasz mości wojewodo, dalibyśmy pochop do zatargów, które bardzo daleko by nas i naszych następców doprowadziły. Dziś składając z urzędu kanclerza i hetmana, jutro zapragnęlibyśmy, aby i inni urzędnicy rzeczypospolitej, równocześnie ze śmiercią króla, godności i urzęda składali, a to być nie może bo i któż rządziłby krajem i dbał o jego całość w czasie interregnum?

— Nie idzie mi o zasadę,—odparł wojewoda — wy hołdujecie tej, ja zaś innej, trudno bowiem, aby wszyscy byli jednej myśli. Lecz przyznacie, że nazwanie mnie Górkę zdrajcą...

— Wybaczcie! — zawołał przerywając Sobieski — nie was to zdrajcą nazwałem, lecz każdego, który by dla prywaty zapominając o dobru ojczyzny, działał na jej zgubę. Również zdrajcą nazwałbym i kanclerza, gdyby teraz, ulegając waszem żądaniom, złożył przez się piastowane urzędy. Dziś nikomu nie wolno ustępować z zajmowanego stanowiska, owszem winien je bronić twardziej niż w każdym innym czasie. Żebyście zaś mości wojewodo nie sądzili, że mam do was jaką urazę i sprzeciwiając się waszemu wnioskowi chciałem wam osobiście ubliżyć, więc przyszedłem tu oto ażeby dać dowód, że w sprawach publicznych wszelka prywata jest mi obcą!

Wielce jestem zobowiązany — odparł Górka podając ponownie rękę Sobieskiemu, za wyrażenia dla mnie tak niespodziewanego affektu, a który wierzajcie mi panie bracie wysoce cenię. Boleję tylko nad tem, że innemi drogami do celu przez nas wszystkich tak bardzo upragnionego podążamy. O wiele więcej jednak byłbym rad z tego gdybyście idąc ręka w rękę ze mną, stanęli przeciw pogwałcicielowi praw naszych.

— Sprzeciwiało by się to moim zasadom — odparł Sobieski — sprzeciwiało by się memu honorowi i sprawiedliwości. Uciśnioną niewinność zawsze i wszędzie bronić należy i gwałt gwałtem odpierać się winno. Wy i wasi adherenci uniesieni rankorem ku kanclerzowi, zapominacie, że jako starosta krakowski spełnił tylko swą powinność i ja nie byłbym inaczej uczynił. Szanujmy prawa, jeżeli chcemy aby nas szanowano!

— Jakto? — zawołał Andrzej Zborowski marszałek nadw. koronny, który w milczeniu dotąd siedział — a więc to jest pochwały godne, że kanclerz, hetman i starosta krakowski, w domie szlacheckim, zacnej wdowy mej siostrzanki, brata mego Samuela, bez okazania dekretu, bez instygatora schwytawszy, nie dawszy nawet czasu na obronę, pod miecz katowski oddał?

— Jesteście w błędzie mości marszałku, — rzekł Sobieski, zwracając się do mówiącego—kanclerz spełnił swą powinność, aczkolwiek przeciw swej woli. Jak zaś tego unikał to wie najlepiej pan gnieźnieński a nawet i wy mości marszałku, boć przecież kanclerz upominał i błagał brata waszego bądź ustnie, bądź też przez was w Łancucie, gdy jechał przeciw Tatarom, bądź też we Lwowie przez pana Kazimirskiego, ażeby brat wasz nie bywał w jego juryzdykcyi, gdyż z sumieniem i przysięgą igrać nie będzie. Spełnił też wyrok jaki był zapadł!

— Nie, nie! — zawołał Andrzej Zborowski — mówisz waszmość, że spełnił co dekret orzekł, a więc dobrze, niechże kanclerz, na przyszłym sejmie koronacyjnym ten dekret ukaże. Tymczasem jednak, musi piastowane urzęda złożyć, nie zechce uczynić tego dobrowolnie, no to go zmusimy!

— Nie moja to rzecz, ani też miejsce, — odparł Sobieski — opierać się czy zmusicie lub nie kanclerza do tego kroku. Przyszedłem tu jedynie po to, by panu wojewodzie dać dowód, że dziś nie mam żadnej osobistej urazy i że prywatą nigdy powodować się nie daję!

Mówiąc to chorąży nadworny powstał z siedzenia a skłoniwszy się wojewodzie dodał:

— Czołem mości wojewodo, spełniłem co do mnie należało, dłużej więc bawić mi tu nie należy! czołem mości panowie i bracia!

— Mości chorąży! — zawołał Górka powstając z siedzenia i towarzysząc do drzwi komnaty oddalającemu się Sobieskiemu.—Wierzajcie mi, że aczkolwiek w zapatrywaniach naszych jesteśmy sobie krzywi, to jednak szanuję waszą śmiałość i szczerość. Macie też we mnie jeżeli nie przyjaciela to animuszu pełnego adwersarza. Przyszłość niedaleka okaże, kto z nas błądził!

— W Boskiej to mocy, Bogu też tylko dobro ojczyzny polecam! — odparł Sobieski, a uścisnąwszy raz jeszcze podaną dłoń Górki biesiadniczą komnatę opuścił, dążąc do swego domu położonego na przeciwnej stronie rynku.

Po odejściu Sobieskiego gwar biesiadników znacznie przymilkł, i mimo zachęty tak ze strony wojewody jako też i po komnacie uwijającego się Brzózki, umysła ożywić się nie dały, animusz poprzedni znikł bezpowrotnie, niebawem też rozchodzić się poczęli, pozostawiając Górkę z Andrzejem Zborowskim, układającymi różne plany i projekta.

V.

W dwa dni po zamknięciu obrad sejmikowych większa część senatorów i szlachty a na czele Stanisław Górka i Andrzej Zborowski podążyli do Warszawy. W Lublinie pozostali tylko jeszcze książęta Słuccy, Sobieski i kilku z ich stronników, z zamiarem ruszenia do Warszawy ostatnich dni stycznia.

W tym też czasie z niemałym udręczeniem Powały, książę Jan coraz częściej bywać zaczął u Żędziana, gdzie pewny niemal wzajemności Małgorzaty, mile z nią czas na pogawędce spędzał. Te częste odwiedziny zwróciły na siebie uwagę nietylko sąsiadów i przyjaciół Żędziana, lecz i jego samego. W skutek też tego zwróciwszy pilniejszą baczność na postępowanie tak samego księcia jak i córki swej, przyszedł do tego przekonania, że zawiązał się między niemi stosunek serdeczny, który należało mu rozerwać co rychlej z uwagi na stanowisko tak księcia jak i jego własne. Wiedział Żędzian aż nadto dobrze, że książę Jan nie uczyni nic takiego coby czci Małgosi uwłaczało, wiedział że nie należy do rzędu ludzi lekkomyślnych i pragnących zadosyć uczynić swoim żądzom, lecz wiedział i to także, że zanadto wielki rozdział między niemi panuje, aby córka jego stać się mogła żoną księcia Jana. Wobec też tego konkury owe jako nie mające celu, narażały tylko Małgosię na obmowę kumoszek i na wystawienie jej honoru na szwank. Temu należało zapobiedz, niechcąc sobie jednak narazić księcia Jana i postradać w nim możnego a życzliwego przyjaciela jakim się książę zawsze mienił postanowił przedewszystkiem zwierzyć się ze swoim frasunkiem Klonowiczowi, Lichańskiemu i Żurawskiemu.

Nie zwłócząc też, dnia pewnego ze zmierzchem nadchodzącego wieczoru, Żędzian w dostatnią szubę i takąż uszatą czapkę przyodziany, przeszedłszy rynek, podążał ku ulicy Bramowej, gdzie w dwupiętrowej kamienicy mieszkał pod onczas Mikołaj Trzaska Żurawski pisarz miejski Lubelski. Kamienica ta przypierała jednym bokiem do bramy krakowskiej, murów miejskich i wałów na które z frontu kamienicy tuż przy bramie, prowadziły kamienne przez wiek dobrze już podniszczone schodki, frontem zaś o trzech oknach zwróconą była do ulicy Bramowej i przeciwległych wałów miejskich ciągnących się ku zabudowaniom kościoła i kollegium OO. Jezuitów. (¹)

Stara i odwieczna ta kamienica, na murach której były liczne ślady niejednego oblężenia i szturmu jakie miasto przetrwało, należała pod ten czas do sławetnego Baltazara Szeligowskiego starszego cechmaistra cechu kowalskiego, który odziedziczywszy ją po rodzicach utrzymywał w wielkim porządku ozdabiając nadto, misternie odkutemi wrotami, które w mieszkańcach Lublina powszechny podziw budziły. Owemi to wrotami, osadzonemi w kamiennych ozdobnie rzeźbionych uszakach, wchodziło się do wązkiej, ciemnej i długiej, nisko sklepionej sieni. Sień ta prowadziła na mały dziedzińczyk przypierający do wałów miejskich na które ztąd wychodziły wązkie i spadziste kamienne schodki.

Tu na pierwszem piętrze mieszkanie składające się z trzech obszernych komnat, alkówki i przedsionka, zajmował pan pisarz miejski Mikołaj Trzaska Żurawski.

Był to już człowiek liczący około lat pięćdziesięciu i kilku, wzrostu miernego lecz barczysty i pełen sił żywotnych. Twarz wyrazistą, pełną szlachetności ozdabiał wąs zawiesisty. Czuprynę miał podgoloną, owoczesnym już upowszechniać się poczynającym zwyczajem. Ubranie jego z wyjątkiem uroczystości, stanowił długi żupan z ciemnego falendyszu, podpasany bawolim pasem spinanym na dużą misternie rzeźbioną srebrną klamrę. Szarawary z tejże co i żupan materyi, buty jełowicze sięgające po kolana, oraz pierścień złoty z herbowym krwawnikiem na palcu wskazującym prawej ręki, uzupełniały tego nader skromnego stroju. Imci pan Żurawski mimo, że benenatus et possesionatus, porzuciwszy lemiesz praojców i zawiesiwszy kopię hussarską na kołku, uznając stan mieszczański również godnym i zaszczytnym jak i stan szlachecki, a może też powodowany i innemi okolicznościami, które mu w niczem nie uwłaczały, osiadł w Lublinie i zapisawszy się do stanu mieszczańskiego, niebawem ulegając głosowi ogółu, objął urzędowanie pisarza miejskiego, syna zaś jedynaka wysłał do Krakowa by tam kształcąc się na medyka i teologa mógł zacnie służyć Bogu i ojczyźnie. Zacny i prawy był to człowiek ów pan Mikołaj, nie dziw więc, że wszyscy dlań byli z wielkim szacunkiem i poważaniem, a nieraz też słowo pana pisarza więcej znaczyło niż prezydenta, wójta i panów ławników.

Jak zwykle tak też i dzisiaj u Żurawskiego, w komnatce będącej tuż obok wielkiej izby frontowej, przed kominkiem na którym suty płonął ogień, popijając węgrzyna i gawędząc siedzieli przyjaciele Żurawskiego, Klonowicz i Lichański.

(D. c. n.)

(¹) Dziś wspomniana kamienica istniejąca pod numerem 23 (num. hip. 20) zwana pod „Czarnym orłem", tworzy róg ulicy Bramowej i Szambelańskiej, tuż obok Bramy Krakowskiej.

PISOWNIA POLSKA
I KWESTYA JEJ REFORMY,

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Pisownia francuzka od XVI wieku zmieniła się wprawdzie znacznie, ale od wieku XVII czyli od czasów Ludwika XIV, to jest od 200 lat z górą, pozostaje tą samą, z wyjątkiem chyba zmian tak nieznacznych jak dowolne *lui, roi* zam. *luy, roy* lub ważniejsza, bo widocznie ze zmiany wymawiania wynikła w *avait, pensait* i t. d. zamiast dawnego *avoit, pensoit* i t. d., a od czasów Woltera zaprowadzona. Zresztą wszystko to samo, te same „dziwolągi" ortograficzne jak np. *beaucoup* (wymawia się *boku*), *pays* (wymawia się *pei*), *aimons* (wymawia się *emą*) i t. d. Nie słychać też jakoś we Francyi o reformatorach pisowni, istotnie częstokroć dziwacznej, ale uzasadnionej *etymologicznie* i *historycznie*.

Widocznie Francuzi, pomimo całej swej lekkomyślności, umieją być rozumnymi, upartymi, nawet konserwatystami w ortografii. Prawda, że i zgodność tam dziwna, bo wszyscy w najdrobniejszych szczegółach piszą jednakowo, oczywiście nie dlatego, żeby dziwaczna częstokroć pisownia francuzka była szczytem doskonałości i żeby alfabet łaciński w zupełności odpowiadał brzmieniom ich języka (np. nosowym, *eu, gn, ch* i t. d.)

Pisownia niemiecka od czasu Biblii Lutra, a więc od początków piśmiennictwa niemieckiego w teraźniejszym języku książkowym, zmieniła się chyba mniej jeszcze od francuzkiej, przy pierwszem zaś wystąpieniu Getego i Szyllera, a więc lat temu sto z górą, była zupełnie taka, jak dzisiaj — trochę to dłużej niż od czasów deputacyi z 1830 r. do chwili obecnej. Wprawdzie za dni naszych powstały pewne projekta zmian ortograficznych, ale te tyczą się jedynie rzeczy tak podrzędnych jak wyrzucenie liter *h* i *e* tam gdzie one zupełnie się nie wymawiają np. w *Thier* (wym. *tir*), *miethen* (wym. *miten*) i t. d. Wszelako, pomimo wmieszania się wszechpotężnego kanclerza, który wziął się do porządkowania pisowni, jak gdyby to były armie czy zarządy, większość piszących oparła się nowościom i pisownia niemiecka pozostaje, *z upartym konserwatyzmem* przy dawnem, nawet przy dotychczasowych „dziwolągach".

Nie słychać zaś jakoś, ażeby w Niemczech jakiś np. redaktor, w gronie swych kilku dawnych uczniów i ich przyjaciół, zamierzał przerabiać z gruntu dotychczasową pisownię i narzucać ją językowi, narzucać milionom. Podobne pokuszenie się w Niemczech przyjętoby śmiechem lekceważenia i co najwięcej, skarconoby zarozumiałość i próżność niepowołanych przez nikogo reformatorów.

Wszelako „dziwolągi" pisowni francuzkiej i niemieckiej są niczem wobec istotnie nawskroś prawie dziwacznej ortografii angielskiej. Toż Anglicy piszą np. *knight*, a wymawiają *najt*, piszą *enough* a czytają *enef*, piszą *psychology*, czytają *sajkoloży*, piszą *Wight*, czytają *Uajt*, piszą *Brouyham*, czytają *Brum*, piszą *Malborough*, czytają *Malbro* i t. d. To dopiero „zamęt i chaos". A jednak, rzecz dziwna, od czasów Szekspira, to jest od lat prawie *trzystu*, pisownia angielska nie zmieniła się w niczem i nie słychać jakoś w Anglii o reformatorach, którzyby się podjęli uporządkować ów chaos i uprościć pisownię, co nawet byłoby może nieco potrzebnem, a pożądanem dla cudzoziemców, którym ułatwiłoby naukę wymawiania angielskiego.

Nie słychać jednak o reformach, a w przestrzeganiu wszystkich najdrobniejszych szczegółów pisowni panuje jednostajność, zgoda i karność wzorowa. Czyżby język angielski od lat trzystu nie rozwijał się wcale?

Czyżby badania naukowe nad gramatyką nie miały do Anglii dostępu?

Czyżby nakoniec i samo wymawianie, w języku tak rozpowszechnionym i wykształconym, nie uległo w ciągu trzech stuleci pewnym zmianom? A może Anglia tak jest nieszczęśliwą, że niezdołała dotąd zdobyć się na geniusz reformatorski, na potężnego znawcę i niezwalczonego stronnika postępu w rodzaju naszego pana A. A. K? Podobno raczej ortografią angielską podtrzymują względy *historyczne*, rozumny, uparty konserwatyzm Anglików.

Po tych niezbędnych uwagach wstępnych, możemy już teraz zastanowić się czy istotnie, chociaż w braku właściwych, a wyżej wymienionych przyczyn, powstał już w ciągu ostatnich lat 50 w pisowni naszej taki niesłychany „zamęt i chaos", potrzebujące pilnej naprawy, a przy tej sposobności i rdzennego przewrotu w innych także punktach przyjętej dotychczas ortografii?

Śledząc bacznie, w ciągu ostatnich lat kilkunastu, wszelkie zboczenia mowy ustnej i pisanej dostrzegam tylko *jeden*, *jedyny* punkt ważniejszy ortografii, w którym istotnie panuje dowolność i nieład, jest to mianowicie kwestya pisowni wyrazów obcych, zakończonych na *ia*, gdyż jedni piszą np. Kuryer, zgodnie z wnioskami deputacyi, inni Kuryjer, innym wreszcie zdaje się, że należy pisać Kurjer, a według tego rozmaicie piszą i dalsze też przypadki podobnych wyrazów.

Jest to, powtarzam, jedyny ważniejszy punkt nieporozumienia, gdyż innego dojrzéć nie mogłem a i z „memoryału" w kwestyi reformy pisowni, o którym będę mówił poniżej, nie widzę ażeby była inna jaka ważniejsza kwestya sporna. Pomniejsze bowiem różnice, jak np. odznaczanie lub nie kreskowanego *é*, chwiejność w pisowni *wziąć* lub *wziąść*, *myślemy* i *myślimy*, *uczonemi* i *uczonymi* i t. d, są albo zbyt błahe, albo jednakowo uprawiane, albo jak np. *pohop* zamiast *pochop* wypływają nie z winy dotychczasowej pisowni, ale z nieumiejętności piszących. Wobec tedy trudności porozumienia i zgody w ogóle, a w kwestyi pisowni w szczególności, przedewszystkiem zaś u nas, zaprawdę z powodu *jednego* tylko punktu nieporozumienia, który zarysował się wyraźniej po latach przeszło pięćdziesięciu, wypada nam cieszyć się i być dumnymi, nie zaś podnosić lament o chaosie i brać się niezręcznie do naprawy, usiłując zarazem przemycać inne, osobistej próżności reformatorskiej schlebiające nowinki.

Ale właśnie żarliwi zwolennicy „postępu", którzy jak najprędzej chcieliby wszystko przerabiać i naprawiać, nie wątpiąc o sobie, że to potrafią, trzymają się też odrębnej logiki, odmiennej zupełnie od tej, której my hołdujemy. Usiłując przerobić niemal z gruntu (jak to poniżej wykażę) dotychczasową pisownię z powodu *jednego* punktu nieporozumienia, postępują z równą logiką, jak np. ojciec, który mając dziesięciu synów i ubierając wszystkich jednakowo, postanowiłby sprawić wszystkim nowe suknie z powodu, że jeden z nich splamił lub podarł nieznacznie jednę z części ubrania.

Ciekawą, a niewszystkim może wiadomą jest historya owych zapędów reformatorskich.

Było to w roku 1872. Grono młodzieży, wyszłe ze Szkoły Głównej warszawskiej, nasłuchawszy się poglądów i teoryi, od wieków znanych, wyobraziło sobie, jak to zwykle młodzi, gdy naukę rutynowę zastąpią mniej skrępowanem i swobodniejszem dochodzeniem, jakoby „wszystkie rozumy pojedli" i odkryli nowe prawdy zbawienne, któremi należało, jak „taranami" walić w zapleśniały mur ciemnoty, strzeżony przez zacofanych *„starych"* (wyrażenie dosłowne, ulubione naczelnemu organowi tego młodociego kierunku).

Ponieważ zaś w tym samym czasie zastęp owych „trzeźwych" studentów-myślicieli odłączył się, wskutek jakichś podobno finansowych nieporozumień, od pnia macierzy, czyli wystąpił z grona redakcyi wzmiankowanego powyżej organu, który na lat parę przedtem zaczął wychodzić, mając tedy „w tekach" spory zapas wypracowań, jako to: nieudolnych (jak pokazało się później) tłomaczeń, streszczeń prelekcyi i konspektów szkolnych i t. d. grono secesyonistów założyło własny organ, a drugie postępowe pismo w naszym kraju zacofanym, miano zaś tego niemowlęcia było „Niwa". Na szpaltach tego dwutygodnika p. Ochorowicz dowodził, na podstawie doktryny Büchnera, Moleschotta i innych materyalistów, że oprócz mózgu żadnej innej duszy nie ma i że człowiek, pod względem psychicznym czyli fizyologicznym (gdyż ta szkoła nie uznaje innej psychologii oprócz fizyologii) nie różni się niczem od psa i żaby. Wypracowania innych spółpracowników wyśmiewały uczucie, poświęcenie i z właściwym sobie pozytywnym dowcipem naigrawały się z obrzędów religijnych, z postów, „wycierania kolanami posadzek kościelnych", „lizania krucyfiksów" i t. p.

Jednocześnie obrzucono błotem całą przeszłość naszą, całą historyą, zalecając „trzeźwą i rozumną praktyczność". Otóż, pomiędzy owemi elukubracyami, pojawiło się także w „Niwie" wypracowanie p. Kryńskiego „O bezzasadnem odróżnianiu rodzajów w 6 i 7 przyp. przymiotników na rodzaje męzki i nijaki". Było to, zgodnie z całym kierunkiem pisma i w harmonii z dążnościami innych jego spółpracowników, wystąpienie przeciwko uznanym powagom, zamach nowatorski i burzycielski na tradycyą literacką. Autor tej słabiutkiej pracy dowodził, że należy pisać *„dobrym* imieniem" podobnie jak *„dobrym* człowiekiem", a także o „dobrym imieniu", w liczbie zaś mnogiej „dobremi imionami" zarówno jak „dobremi ludźmi". Kwestya w gruncie błaha, gdyż *é* (np. w dobrém imieniu) brzmi jak wiadomo, prawie jak *i* lub *y*, w mowie zaś pospolitej słyszymy w obydwu wypadkach, oba brzmienia. Idzie tu więc przedewszystkiem o jednostajną zgodę i karność, skoro zaś blizko od stu lat, bo od czasów Szylarskiego i Kopczyńskiego, ustalił się w pisowni zwyczaj dotychczasowy używania *ém* w 6 przyp. rodz. nij. a *ym*, *im* w męzkim (w liczbie mnogiej nawet tego ustalenia nie ma i zarówno dobrze piszemy *dobremi* ludźmi jak *dobrymi*), to dla tak podrzędnego punktu niewarto nawet zadawać sobie pracy dowodzenia, ani wprowadzać zamętu w piśmiennictwie i szkole. Widocznie jednak nie o to szło p. Kryńskiemu, ale opierając się przeważnie na gramatyce ks. Malinowskiego, a nadto (co podobno było najważniejszem i najbardziej zasługuje na uwagę) „na odpowiedniej jednostajności w innych językach słowiańskich", co słusznie uwydatnił, mówiąc o tej kwestyi tłomacz polski dzieła Baina „Nauka o Wychowaniu", pan Kryński zarazem zwalczał *powagi* Szylarskiego i Kopczyńskiego, usiłując na ich miejsce postawić powagę własnego imienia, nikomu z żadnych zasług nieznanego. Jeżeli bowiem, według p. Kryńskiego, Kopczyński nie miał prawa *wprowadzać* tego, co jednak ustaliło się szczęśliwie, to inni znowu powiedzą, że p. Kryński nie ma prawa tego przerabiać i że w każdym razie wolą powagę Kopczyńskiego niż powagę pana Kryńskiego. P. Kryński używał także argumentów niby *historycznych*, wykazując, że dawniej pisano *dobrym imieniem*, co jest prawdą wiadomą i niepotrzebującą dowodzenia, ale dawniej pisano także *przedsie* zamiast *przecie*, *y* zamiast *i*, *wszytek*, *wszytko* zamiast *wszystek*, *wszystko* i t. d., dziś zaś nikomu nie przyjdzie do głowy wskrzeszać te wyszłe z użycia formy. Przytaczał także p. Kryński dowody z ćwiczeń szkolnych uczniowskich, czyli raczej z brulionów ćwiczeń *przed ich poprawieniem*, czem rozweselił i ubawił swych przeciwników, pomiędzy którymi pan A. Bądzkiewicz w „Gazecie Warszawskiej" obszernie i gruntownie wykazał nicość, niepraktyczność i fałsz całego nowatorskiego zamachu p. Kryńskiego.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Kuryer Codzienny" podaje ważną wiadomość, jaką miał otrzymać z wiarogodnego źródła, iż nareszcie zapis Staszica zostanie zdaje się wykonany. Jak wiadomo kapitał złożony w Banku polskim, przez kapitalizowanie procentów wzrosł do summy 197,693 rs. testator przeznaczył go na urządzenie sal zarobkowych, ponieważ uznano niemożebnem ściśle wypełnienie woli ofiarodawcy, porobiono pewne zmiany w jego projekcie, mające na celu uwzględnienie obecnych warunków. Z polecenia wyższej władzy, rada miejska dobroczynności publicznej ma całą tę sprawę podać do wiadomości ogółu a szczególniej spadkobierców ofiarodawcy, jeźli takowi istnieją, aby zgodnie z przysługującem jej prawem zaprotestowali lub zatwierdzili zmianę woli testatora. Jeźli, jak tego wymagają przepisy, w przeciągu czterech miesięcy nie zgłosi się żaden wylegitymowany spadkobierca, zmiana zrobiona w testamencie stanie się prawomocną i przedstawioną władzy do zatwierdzenia. Można więc mieć nadzieję, że sprawa tak długo zapomniana wejdzie nareszcie w życie.

*** Drugą pomyślną wieścią jest wiadomość o zamiarze założenia w Warszawie „Bractwa miłosierdzia", którego celem byłoby niesienie pomocy chorym po domach, opiekowanie się nimi, oraz dopomagania rodzinom w ich staraniach około chorych i w bolesnych zajęciach pogrzebowych w razie śmierci chorego. Stowarzyszenie ma się składać z członków honorowych płacących sześć rubli rocznie, i zwyczajnych wnoszących wpisowe rs. 1 kop. 50 i po kop. 25 miesięcznie. Każdy członek stowarzyszenia obowiązany jest spełniać obowiązki określone celem stowarzyszenia. Wypracowany przez p. J. Kaufmana projekt ustawy, przedstawiony został do zatwierdzenia właściwej władzy. Stowarzyszenia takie istnieją zagranicą, od bardzo dawnych czasów w Krakowie i wywierają nader pożyteczną działalność.

*** Kolonia polska w Konstantynopolu, zwróciła się do władzy duchownej o wydelegowanie kapłana rodaka do spełniania posługi religijnej. Brakowi odpowiedniego uposażenia zaradziła ofiarność kilku osób, tem godniejsza uznania, iż jako nie zamieszkałe w stolicy Turcyi, nie będą mogły korzystać z kazań polskich.

*** Przeszło dwa miesiące temu, oddano do publicznego użytku, sławny co do swych kolosalnych rozmiarów i śmiałej konstrukcyi most wiszący, między Brooklynem a Nowym Yorkiem. Twórcami jego byli dwaj inżynierowie pp. Roebling, ojciec i syn. Pierwszy z nich, inicyator pomysłu,

nie doczekał ukończenia mostu; syna doprowadzającego do końca budowę, ciężka niemoc przykuła do łoża. Tylko odgłos strzałów armatnich oznajmił mu, że wybiła godzina tryumfu, że ogół podziwia dzieło ojca jego, które pracą nad siły pragnął doprowadzić do końca. Ciężka choroba nie dozwoliła mu tego dokonać, zastąpiła go żona. Obdarzona wielkiemi zdolnościami i niezwykłą mocą charakteru, widząc boleść męża, z całym zapałem oddała się studyom matematycznym i konstrukcyjnym i takiej dosięgła w nich biegłości, iż rzeczywiście pod jej przewodnictwem dokonano budowy mostu. Jedyny to po dziś dzień przykład w dziejach inżynieryi, dowodzący zarazem, że przy odpowiednich zdolnościach i pracy, kobiety mogą współzawodniczyć z mężczyznami na drodze nauk — nawet uważanych dla nich dotąd za niedostępne.

*** Dzień ŚŚ. apostołów Piotra i Pawła nader uroczyście obchodzony jest w Rzymie. Wszystkie sklepy bywają zamknięte przez czas trwania nabożeństw, od rana do godziny 6-ej, wieczny gród przybiera postać umarłego miasta. Tak we wszystkich kościołach pod wezwaniem ŚŚ. Apostołów, jakoteż w tych, które posiadają ich relikwie lub do których wiążą się pewne tradycye z ich życia, odbywają się uroczyste nabożeństwa. Całe wnętrze i drzwi bazyliki S. Piotra są nadzwyczaj wspaniale przybrane na tę uroczystość, ściągającą do świątyni niezliczone tłumy. W dniu tym publiczność dopuszczona bywa do podziemi kościoła, których ściany pokrywają płaskorzeźby z pierwszych wieków chrześciaństwa, a sklepienia poźniejszemi już ozdobione są freskami. Tegoż dnia można zwiedzać podziemia kościoła „Santa Maria in via Lata”, gdzie według tradycyi, św. Łukasz spisywał czyny Apostołów. U św. Piotra w Okowach, oglądają łańcuch którym św. Piotr skrępowany był w Jerozolimie; według legendy złamane ogniwa tego łańcucha, złączyły się w oczach niewiernych.

*** Dwóch znanych malarzy francuzkich Carrier-Belleuse i Henryk Gervex przygotowują wielką panoramę mającą przedstawiać całą historyę XIX wieku, to jest główne fakta i znakomitych ludzi bieżącego stulecia, w porządku chronologicznym. Olbrzymie to dzieło ma kosztować 500,000 franków i będzie ukończone za dwa lata.

*** W Nowej Marchii, w równej prawie odległości od twierdzy Kistrzyńskiej i od Frankfurtu nad Odrą, leży pamiętne w dziejach Poznańskiego i z nowszych czasów, miasteczko Sonneburg, że słynnym domem kary i poprawy. Wiążą się do Sonneburga liczne wspomnienia z czasów Łokietka, Kazimierza i średniowiecznego krzyżactwa, był on komturą rycerskiego zakonu św. Jana, a ztąd zależnością krzyżacką. Pruscy Krzyżacy znikli z widowni świata, zakon św. Jana dotrwał dotąd, (Johanniterarden) ale zmienił swój charakter i przeznaczenie. Zamiast wojować ze spokojnymi poganami, jest dziś stowarzyszeniem „dobroczynności dla inwalidów wojskowych i opieki nad rannymi w czasie wojny, a oprócz tego daje wsparcie 7,000 biednych. Zakon zatrzymał dotąd swą średniowieczną organizacyę i ceremoniał, wielkiego mistrza i rycerzy w czarnych płaszczach z białemi krzyżami i tradycyjna stolica jego pozostaje dotąd w Sonneburgu. Dotychczasowym wielkim mistrzem zakonu był książę Karol, brat cesarza Wilhelma, po jego śmierci cesarz przeznaczył na tę godność synowca swego, księcia Albrechta i tenże pasowany został w Sonnenburgu na tę godność przez następcę tronu, z zachowaniem całego starodawnego ceremoniału. Do miasteczka w Nowej-Marchii, nie mającego żadnej komunikacyi z jakąbądź koleją, zjechało na tę uroczystość wiele bardzo dostojnych osób, między innymi ks. Edymburski, oraz mnóstwo ciekawych i reporterów dziennikarskich, którzy wprawdzie byli świadkami nader rzadkiej dziś średniowiecznej uroczystości i opisali ją do pism odnośnych, ale za to nie mały mieli kłopot z powrotem do Berlina. Gdyby nie ten obchód, świat zapomniałby o Sonnenburgu.

*** Ministeryum oświaty w Wiedniu, dało odpowiedź odmowną spadkobiercom homeopaty Schmidt'a, który wyznaczył w testamencie legat na utworzenie w tamecznym uniwersytecie, katedry homeopatyi.

*** W Meidling pod Wiedniem, utworzyło się stowarzyszenie mające na celu zastąpienie języków rozmaitych narodowości jedną wspólną, wszystkim zrozumiałą mową. Przewodniczącym stowarzyszenia wynalezienia powszechnego języka jest proboszcz Schleyer, z Litzelstetten pod Konstancyą. Stowarzyszenie wydało już własnym nakładem gramatyki nowego języka, któremu nadało nazwę „Volapük”, gramatyki te zastosowane są do użytku każdego europejskiego narodu.

*** Ameryka nie przestaje być ojczyzną wynalazków. Niedawno robiono tam próby z nowym przyrządem zwanym „Telefot”. Jest on tem dla wzroku, czem telefon dla słuchu, przedstawia oczom co się dzieje w pewnej odległości. Za pomocą telefotu, widziano w zmniejszeniu, lecz jasno i wyraźnie na tablicy umieszczonej przed widzami, wyścigi konne odbywające się na placu wyścigowym, o kilka mil angielskich odległym. Nowy ten wynalazek może znaleźć nader pożyteczne zastosowanie szczególniej przy pociągach kolei żelaznej, albowiem tam przynajmniej gdzie nie ma wielkich nierówności i zagięć, tam na tablicy umieszczonej na parochodzie, maszynista mógłby widzieć całą przed sobą linię, jakoteż co się dzieje na stacyi do której pociąg zmierza.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie z lekkiego wełnianego materyału, dla małej dziewczynki. Vêtement fałdowane środkiem przodu i pleców, dopełnione jest spódniczką plisowaną. Kołnierzyk i mankietki fałdowane, kokardy z wstążki kolorowej. Kapelusik biały słomkowy zdobny piórami.

Suknia z gładkiej i deseniowej materyi jedwabnej. Na fałdowanej spódnicy z gładkiej materyi dane vêtement deseniowe z mienionej materyi, z przodu podpięte à paniers, z tyłu spadające w sutych fałdach i zakończone u dołu koronką. Kapotka jedwabna zdobna girlandą z kwiatów, przysłaniającą rondko.

Suknia z vêtement. Spódnica naszyta trzema bardzo szerokiemi plisami aksamitnemi. Vêtement odmiennego koloru z przodu ułożone w fałdowaną bufę, z tyłu suto podpięte. Kołnierz szeroki i mankiety aksamitne koloru plis. Kapelusz słomkowy z rondem podszytem aksamitem, ozdobiony piórem.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: **Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.**

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach, mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Августа 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

Tu pan Désormes był w swoim żywiole, mógł tu wykazać w całej pełni swe zdolności i głęboki rozum; przedstawił i wytłomaczył szczegółowo tę zagrodę pracy i żalu za winy której był twórcą i zwierzchnikiem. Państwo de Chazé, Jan a nawet Marylka słuchali ciekawie i z zajęciem jego pouczających teoryi i dowodzeń, i dopiero gdy opuściwszy kolonię ujrzeli niezmierzone pole zasadzone kartoflami i burakami, Jan nie mógł się powstrzymać aby nie powiedzieć panu Désormes.

— Podziwiam wszystko co pan tu dokonał, a szczególniej tę potęgę przemysłu zdolną wszystko odrodzić i użyznić — a jednak żal mi tego wielkiego lasu tych starych drzew które kazał pan pościnać aby na zajmowanym przez nie gruncie posiać buraki i sparcertę. Widzę w tem jakby symbol: burak to przyszłość — przeszłością był dąb.

— Przewidzenie reakcyjne, odparł śmiejąc się pan Désormes, którem wywołałeś długą rozprawę, kochany panie margrabio. Nigdy nie zabieram głosu w senacie, odbiję to sobię na panu. Rajmundo, pamiętaj dać mi znak jeżli się za długo rozgadam.

— Dobrze, ojczulku, odrzekła z uśmiechem.

— A więc siadajmy, nie pod cieniem drzew których już nie ma, ale pod cieniem tych murów otaczających moją kolonię, i chciejcie państwo posłuchać słów moich:

„Tak, margrabio, ścinamy drzewa których ja sam żałuję szczerze, ale cóż robić kiedy dla ludzi niezbędniejszy jest chleb niż cień jaki one dają. Jak wszędzie tak i we Francyi ludność powiększa się ciągle, gdyby więc nie ścinać brzoz i dębów, wkrótce i po ćwiartce zboża nie przypadłoby na jednego człowieka. Niebawem chyba cała ludność musiałaby wyemigrować, a więcej niż kiedy potrzeba nam ludzi na obronę kraju. Mamy dziś 16 lipca 1870 roku — zapiszcie sobie tę datę w pamięci. Jutro a przynajmniej lada dzień najniespodziewaniej wojna wybuchnąć może.

— A więc pomaszerujemy do Niemiec, jak nasi przodkowie! zawołał hrabia de Chazé.

— Żeby tylko, także jak ich ojcowie, Niemcy nie weszli do Francyi, odrzekł smutnie pan Désormes. Fatalizm jakiś skazuje Francyę aby została polem tegoczesnych bitew.

— Z jakiegoż to powodu, panie senatorze?

— Może odpowiedź moja wywoła uśmiech na wasze usta, gdyż za młodych lat byłem trochę sensimonistą, a jakkolwiek odłączyłem się od dawnych moich przyjaciół pod względem religijnym, pozostałem im wiernym pod względem filozoficznym i politycznym. W gruncie nie jestem ani royalistą, ani imperialistą lub republikanem, ale progresistą. Wierzę w nieograniczony postęp ludzkości, to jest w coraz głębsze wnikanie Boga i przejęcie się Nim serc ludzkich. Błogosławię tych którzy starają się sprowadzić ten postęp przez pracę i w spokoju, przeklinam pragnących dojść do niego przemocą i siłą. Na nieszczęście ci ostatni mają swoje dnie, lata, czasem i wieki tryumfu. Otóż cywilizacya posuwa się nieustannie, i w którym tylko zatrzyma się kraju, zmienia jego prawa, obyczaje, jego wierzenia i życie polityczne, poczem odchodzi szukać innej odleglejszej stacyi, zawsze w kierunku Zachodu.

Ostatnią stacyą cywilizacyi w Europie jest Francya, nagromadziła się tu ona z dawien dawna, a ludy w pochodzie nadchodzące od Wschodu i Północy, błądzą zmierzając ku Południu i przypierając nas do Oceanu Atlantyckiego. Powinny raczej zwrócić się ku krańcom Wschodu, ku Ameryce, i tam też pójdą kiedyś! Lecz nim to nastąpi rzucą się na nas, więc powinniśmy się bronić... Ale jak tego dokazać?.. Nader prostym ale, niestety! nader trudnym do zastosowania sposobem — jakim jest zjednoczenie wszystkich klas społecznych. Łatwo tego dokonać w nowych społeczeństwach, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych Ameryki — ale w Europie, we Francyi, to zadanie nader trudne, jak gdyby ktoś chciał przenosić góry. Każde zestarzałe a pragnące odnowić się społeczeństwo, ciężki dźwiga ciężar — ciężarem tym jest przeszłość i czuje ciężką dręczącą go obawę — obawę o przyszłość; obawia się reakcyi, rewolucye budzą w niem przerażenie — i słusznie, ale obowiązkiem społeczeństw starać się je uniemożebnić. I dokonamy tego, ale arystokracya musi pozbyć się przesądów a demokracya swych uprzedzeń. Pomagać do tego jest zadaniem mieszczaństwa; powinno ono wyciągnąć rękę na prawo gdzie znajdzie konserwatywną tradycyę, a drugą na lewo, gdzie znajdzie potęgę wytwarzającą. Według mnie jest to chwalebne zadanie, i jako mieszczanin staram się je spełniać. I dlatego to panie de Lizardière, w końcu tej długiej rozprawy tytułuję pana margrabią, dlatego także sieję zboże aby go starczyło dla biedaków którzy kradli go z początku i kradliby nadal, gdybym im nie dał sposobności zarobienia na nie.

Pan Désormes zamilkł; słuchacze a szczególniej Jan patrzyli na niego z szacunkiem i uznaniem jakie budzi zawsze podniosłość myśli i silne przekonanie, po chwili jednakże, Jan pozwolił sobie zrobić uwagę:

— Lękam się, czy mieszczaństwo nie napotka zbyt wielkich trudności w dokonaniu owego wielkiego dzieła zjednoczenia klas społecznych.

— I masz zupełną słuszność, panie margrabio, to też radziłbym aby dla pokonania tych trudności użyła siły stokroć jeszcze potężniejszej niż się zdaje gdyż jest najprawowitszą ze wszystkich — siły religii. Ponieważ odbywam teraz głośną spowiedź; jak w pierwszych czasach chrześcijaństwa, mogę więc jedno jeszcze uczynić wyznanie: i ja byłem niegdyś trochę niedowiarkiem pod względem religii, ale zbadawszy głębiej tę tak ważną kwestyę, doszedłem do przekonania, że Chrześcianizm katolicki, tak we Francyi jak w całym świecie, stanie się wielkim sprawcą zbliżenia i zjednoczenia społeczeństw, i proszę chciej pan rozważyć równie głęboko jak ja ten ważny ustęp z *Mémoires d'outre-tombe* (z Pamiętników pośmiernych) Chateaubriand'a „Nietylko religia Zbawiciela nie dobiegła swego kresu, ale wchodzi zaledwie w okres trzeci, w okres polityczny."

Wszyscy słuchali z wielkiem zajęciem mowy pana Désormes, w tem wszedł służący oddał mu depeszę telegraficzną. Przeczytawszy ją zbladł.

— Nie przypuszczałem że przepowiednia moja sprawdzi się tak prędko—rzekł, mamy wojnę z Prusami.

— Wojnę! krzyknął pan de Chazé; w to mi graj! pobijemy Prusaków!.. wszak prawda panie Désormes?

— Miejmy tę nadzieję, odpowiedział, ale jeźli inaczej się stanie, jeźli przegramy pierwsze bitwy, jeźli trzeba będzie aby cały naród powstał w obronie ojczyzny, wprowadźmy tu w czyn pierwsze zastosowanie mojej teoryi zbliżenia społecznego, i szlachta, mieszczanie i wieśniacy wyruszymy razem na wroga.

— Święte słowa, panie Désormes, zawołał hrabia.

— Co do mnie, panie hrabio, rzekł pan Désormes, wracam niezwłocznie do Paryża, jak mi to nakazuje obowiązek — ale wrócę jak tylko właściwa nadejdzie pora. Raczy pani hrabina pozwolić że powierzę jej opiece córkę moją, która tyle już doznała dowodów jej dobroci.

— Jeźli pan pozwoli będę mu towarzyszyć do Paryża, rzekł Jan, pragnę natychmiast stanąć w szeregach

— Zgoda kochany margrabio, dostawię pana jednemu z najlepszych moich przyjaciół, który jest pułkownikiem żuawów.

Pan Désormes zajął się przygotowaniami do podróży, a Jan żegnał się z rodziną która naturalnie ani myślała odwodzić go od powziętego zamiaru Rajmunda pobladła i drżąca odpowiedziała ukłonem na pożegnalny jego ukłon; on zaledwie zdołał zapanować nad swem wzruszeniem. Chcąc rozweselić nieco smutną tę scenę, pan de Chazé krzyknął mu nad uchem:

— A pocałujże ją w rękę niedołęgo!

W godzinę potem, Jan i pan Désormes pędzili do Tours, a Rajmunda i państwo de Chazé odjechali z powrotem do Marcilly.

XXI.

Ochotnicy z Zachodu.

Było to 2-gi grudnia. Ochotnicy z zachodu Francyi, dawni żuawi papiezcy, rozłożyli się we wsi Terminiers, do nich przyłączyło się kilkunastu mobilów z różnych batalionów. Przysłuchując się strasznemu odgłosowi bitwy, czekali z bronią w ręku, 15, 16 i 17 pułk z armii Loary, walczyli z prusakami i Bawarczykami, którym dowodził książę Meklemburski, a wojsko dowodzone przez księcia Fryderyka-Karola, gotowe było każdej chwili iść im na pomoc.

Jenerał de Sonis, dowodził 17 korpusem pod rozkazami jenerała Chanzy, do tego właśnie korpusu zaliczeni zostali ochotnicy z Zachodu. W ich liczbie spotykamy czterech naszych dobrych znajomych, pana Désormes, syna jego Raula, Kajetana de Cambry i hrabiego de Chazé.

Hrabia de Chazé miał na sobie mundur podporucznika—nie chciał wstąpić w wyższym stopniu—trzej inni służyli jako prości żołnierze. Pomimo coraz więcej zbliżającego się odgłosu działowego ognia

i bitwy, wszyscy czterej rozmawiali spokojnie, jak gdyby znajdowali się w salonie la Bruyères lub na peronie w Marcilly. Tylko pan Désormes, pan de Cambry i Raul, byli poważniejsi niż zwykle, zaś pan de Chazé był przeciwnie nader wesoły — odór prochu upajał dawnego afrykańskiego żołnierza.

— Ani słowa kochany Désormes...

Od czasu wstąpienia do szeregu, hrabia nigdy towarzyszowi nie mówił „panie."

— Ani słowa, kochany Désormes, iż wielką przynosi ci chlubę iż przywdziałeś mundur prostego szeregowca, boć, między nami mówiąc, masz już pewnie około sześćdziesiątki; ale wiesz, przyjacielu, żal mi jednéj rzeczy...

— Czegóż takiego, kolego?

— Że nie nosisz dawnego stroju sen-simonisty; tak mi się coś zdaje że na widok tak dziwacznego munduru, przeklęci Prusacy i szatańscy Bawarczyki pierzchliby niezawodnie.

— Żartujesz sobie, kochany de Chazé, a jednak ten twój żartobliwy pomysł ma swoją dobrą stronę. Jak to tyle razy mówiłem, wojna patryotyczna jest wielką pracownią zjednoczenia kast i przekonań. Mamy tu przedstawicieli starej francuzkiej szlachty, mieszczaństwa i chłopstwa, a najlepszym szlachcicem, najszlachetniejszym jest ten kto jest najodważniejszym, kto najwięcej kraj swój ukochał.

— Takim więc sposobem wszyscy tu jesteśmy dobrą szlachtą, kochany Désormes. Jakże żałuję że Jana nie ma między nami! ale wzięto go do niewoli pod Sedanem i został internowany gdzieś w głębi Niemiec; ostatni list jego datowany był z Magdeburga.

W tejże chwili stanął tuż przed nimi pędzący galopem oficer a za nim ordynans. Był to kapitan de Pronleroy, ten sam który kilka dni temu, podczas Bitwy pod Baulle, przechadzał się z odkrytą głową pod ogniem kul nieprzyjacielskich, mówiąc do żołnierzy:

„Mówiłem wam, moje zuchy, że Prusacy nie umieją strzelać celnie."

— Panowie jesteście żuawi papiezcy? zapytał kapitan.

— Tak, panie, odrzekł porucznik Gonidec.

— Przypuśćcie panowie atak i zajmijcie jak najśpiesznicj wieś Gommiers, bardzo zagrożoną przez nieprzyjaciela — taki rozkaz jenerała.

— Spełnimy, go kapitanie.

— A teraz, dodaję panom jednego jeszcze kolegę; jestto margrabia Jan de Lizardière, przybywający z Prus, skąd udało mu się uciec przez Tyrol i Włochy, dowiedziawszy się że znajdzie tu dobrych przyjaciół, prosił abym go do nich doprowadził, Żegnam panów!

Hrabia de Chazé, pan Désormes i Raul serdecznie uściskali Jana, ale nie mieli czasu rozmawiać, gdyż ochotnicy i mobile musieli niezwłocznie popędzić do Gommiers. Ale nie zastali tam już Niemców — cofnęli się ku Północy, wygnani ogniem trzydziestu dział kartaczowych francuzkich.

A jednak mimo to Francuzi nie wygrali tej bitwy. Niemcy oszańcowali się z łatwością w wiosce Loigny, stanowiącej klucz pozycyi — trzeba było wypędzić ich z tamtąd zanim noc zapadnie. Jenerał de Sonis podjął się trudnego tego zadania. Zwrócił się do żuawów i mobilów stojących w szyku bojowym około pałacu Villepion, wołając:

— Niech żyje Francya! niech żyje Pius IX! Naprzód!

I ośmiuset ludzi pośpieszyło zaatakować całą dywizyę, zajmującą pozycyę prawie niezdobytą, bronioną licznemi bateryami.

Tu mały ten hufiec piechoty francuzkiej, miał ponowić bohaterskie szaleństwo kawaleryi angielskiej pod Bałakławą — lecz nie, nie było to szaleństwem dowieść, że śmiało rzucając się na artyleryę, dzielni żołnierze mogą osłabić jej działalność; nie jest szalaństwem wskazać innym jak umierać mają.

Uszykowani jak tyralierzy szli po woli, spokojni, z zimną krwią starych żołnierzy, jakby na placu mustry; wszyscy milczeli, jenerał i pułkownik rozumieli to dobrze że takich ludzi nie potrzeba zachęcać ani dodawać im odwagi.

Spostrzegłszy garstkę tyralierów, nieprzyjaciel sypnął ku niej kartaczami ale te nie wielu dosięgły, tak zbliżyli się do lasku, skąd grad kul ich powitał.

Mniej sprawiając huku, kule większe niż granaty szerzą luki w szeregach. Pan de Verthanion padł ugodzony śmiertelnie, krew jego zbroczyła sztandar pochwycony przez hrabiego de Bouillé, jenerałowi de Sonis kula strzaskała kolano; tuż obok niego padli komendanci de Troussure i de Moncuit. Inni, nie zważając na to, posuwali się spokojnie z bronią na ramieniu, choć drżący niecierpliwością. Gdy już tylko kilka kroków oddzielało ich od lasku, pułkownik de Charet zakomenderował: Ognia! i wszyscy wystrzelili jednocześnie, i jednym rzutem rzucili się do lasku, z bagnetem w ręku.

Był to manewr szybki i straszny; dobry bagnet w ręku francuza, to Durandala w ręku Roland'a. Niebawem prusacy uciekali ku szańcom wioski, lub rzucając broń, padali na ziemię, wołając: pardon! Nie wszyscy jednak. W głębi lasu, hrabia de Chazé, za którym szli Jan i pan Désormes, spostrzegł młodego oficera, który wpół ukryty za pniem dębu, celował do niego z rewolweru.

Hrabia de Chazé rzucił się ku niemu, krzycząc głośniej niż kiedykolwiek:

— Założę się że chybisz, przebrzydły Niemcze!

Oficer pruski dał ognia; kula przeszła około piersi, pod ramieniem hrabiego.

— Powiedziałem ci to, młokosie, ale mniejsza o to, zuch jesteś.

I ostrzem swej szpady rozciął mu głowę.

Jednakże choć strzał nie trafił w hrabiego, nie był straconym, niestety! kula przeszyła rękę idącego za hrabią Jana i utkwiła w łopatce pana Désormes, oddalonego tylko o parę kroków.

Pan Désormes padł, Jan osunął się na niego, i krew z jego rany zmięszała się z krwią starego towarzysza broni. Spostrzegłszy że obaj zostali ranni, pan de Chazé chciał biedz do nich.

— Zostaw nas, zawołał pewnym głosem pan Désormes, bij wroga!

Pan de Chazé przyłączył się do żuawów, którzy wyparłszy Prusaków daleko za las, z równem męztwem odebrali im fermę Villours. Tu daremnie czas jakiś oczekiwali pomocy, i zmęczeni każdą piędź ziemi sami zdobywać musieli. Gdy pod pułkownikiem de Cherette ubito konia, piechotą prowadził do boju. Nieszczęściem został raniony i padł na placu boju, pomimo odwagi żołnierzy, musiano się cofnąć przed przeważającą liczbą nieprzyjaciela.

Kajetan de Cambry walczył dzielnie i poległ wypierając Prusaków z jednego z domów. Kula przeszyła mu piersi.

Prusacy wysuwali się ze wszech stron, pragnąc otoczyć garstkę dzielnych wojowników — bronili się aby tego nie dopuścić. Pan de Chazé cofał się zwolna, z rewolwerem w lewej a szablą w prawej ręce, po ziemi pooranej kulami i odłamami granatów, wśród tumanów kurzu, odwracając się co chwila aby stawić czoło nazbyt blizko nań nacierającym

Tak dostał się do lasku w którym nad brzegiem rowu leżał pułkownik de Charette i kilku innych ranionych walecznych towarzyszy broni. Pan de Chazé rzekł pokazując mu silne swe ręce:

— Jeźli pozwolisz, pułkowniku, uniosę z tąd ciebie a może i drugiego jeszcze.

— Nie, kochany kolego, odrzekł z prostotą pułkownik, po co masz narażać się na pewną śmierć. Pozostanę tu, ty idź walczyć za Francyę,

Musiał słuchać rozkazu pułkownika i zagłębił się w lasek, ale nie mógł znaleźć Jana i pana Désormes.

Noc zapadła, dzięki temu mógł niespostrzeżenie dostać się do zamku Villepion. Tu się zatrzymał, popatrzył na płonącą wieś Loigny, słuchał ostatnich odgłosów bitwy, a gdy doleciały go zdaleka głośne okrzyki zwycięzców zapłakał jak dziecko.

Gdy wieczorem, w Patay, przywołano do apelu pierwszy batalion żuawów, skonstatowano że z trzechset ludzi składających go rano, dwudziestu siedmiu żołnierzy i jedenastu oficerów zostało na placu lub mocno ranni dostali się w niewolę.

Hekotamba godna tak świętej sprawy.

Na biwaku w Patay, pan de Chazé dowiedział się że i Raul Désormes został ranny ale dopiero ku końcowi bitwy. Więcej tak o nim jak o ojcu jego i Janie nic nie wiedziano, i dręczony niepokojem musiał ruszyć z resztką bohaterskiego batalionu ku Poitiers, aby połączyć się z cofającą się armią w dolinie Loary.

Tam to dopiero po upływie dni kilku, odebrał wiadomość o swoich przyjaciołach.

XXII.

Ambulans i Lizardière.

Jan, pan Désormes i syn jego Raul umierający z zimna i z głodu na polu bitwy, znalezieni zostali przez Prusaków, i przeniesieni do miejscowego probostwa, zamienionego na ambulans, nad którym powierzono dozór czcigodnemu proboszczowi miejscowemu, księdzu Theuré.

Rany pana Désormes i syna jego nie były tak ciężkie jak się z początku zdawało, i obaj dość prędko z nich się wyleczyli; ale rana margrabiego była bardzo niebezpieczna, przystąpiła gorączka, chory przez kilka dni był w malignie.

Jednego poranku gorączka zmniejszyła się cokolwiek; tylko od czasu do czasu chory zaczynał wymawiać po kilka odrywanych wyrazów, jakby przez sen.

— Dobra, święta Krystyna!.. Pan Désormes ma słuszność... Rajmunda... Rajmunda... Za bardzo bogata... za bardzo... miliony... Ona woli Klodiona... Szczęśliwy ten mój pies... Kwiaty polne na grobie mej matki... Wieszczka!.. Wieszczka!..

Zwolna otworzył oczy i szukając wzrokiem do koła, spostrzegł w rogu pokoju pana Désormes, z ręką na temblaku, rozmawiającego z Raulem. W nogach jego łóżka, stały wpatrujące się w niego, Krystyna i Rajmunda. Obiedwie miały na sobie czerwony krzyż genewski.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Gdy Henryk odszedł, Teodora wyjęła z szuflady kajet w którym od pewnego czasu często pisywała skrycie, i napisała następujący wierszyk:

REZYGNACYA.

„Tam na stepie, drobny biały kwiatek, wychylił główkę nad kamienie mchem porosłe.

Zgrabne dzwoneczki poruszane wiatrem, ogrzane słońcem miłą woń rozsiewały.

Ale wszystkie rosnące na stepie zioła, rzucały nieprzyjazne spojrzenia na niewinnego przybysza.

Widocznie ten dzwonek, obcy między nami, uważa się za coś wyższego od nas mówiły zadąsane.

Obcy kwiatek, przejęty obawą, zwinął prędko swe śnieżne listeczki, a na dno jego kielicha łza po łzie spadała.

Nagle śpiew wesoły odezwał się w przyległym gaju, i samotny przybysz posmutniał więcej jeszcze.

Skrzydlaty śpiewak wzniósł się w powietrze, i siada bliżej, coraz bliżej więdnącego kwiatka.

Śpiewa o zielonym gaju, o kwiatach i błękitnem niebie, o swem swobodnem życiu.

Ty biedny wygnawcze umierasz z tęsknoty! ten step ponury niepodobny do twej ojczyzny.

Kwiatek niżej jeszcze zwiesił główkę i wyszeptał smutnie: Odléć już ptaszku, odléć, wróć do gaju twego.”

Jakkolwiek miłą była dla Teodory obecność Henryka Turner, nie mogła jej uchronić od kłopotów domowych, tem więcej że zajęcia gospodarskie stawały się dla niej coraz nieznośniejsze. Wpadała często w zamyślenie zakończające się łzami. Fryderyk drażniony ciągle życzliwością żony dla kuzyna, nie powstrzymywał się już jak dawniej od nagany i wymówek. Pewnego dnia nawet wybuchnął gwałtownym gniewem, gdy Lizeta ścierając kurz stłukła kosztowny wazon porcelanowy.

— Nie powinnabyś żądać od tej niezgrabnej dziewczyny roboty, wymagającej ręki lekkiej i zręcznej. Czemu nie zajmiesz się tem sama?

Teodorze nigdy nic podobnego nie przyszło nawet na myśl, i było to dla niej bardzo niemiłe zatrudnienie, pomimo to obiecała mężowi z westchnieniem że zastosuje się do jego życzenia, choć nie czuła jeszcze, że miał poniekąd słuszność. Zresztą w domu zdarzały się coraz częściej szkody znaczne, od których przy porządku i dbałości można się było uchronić. Jak dawniej u matki, tak i teraz Teodora rozrzucała wszędzie swoje rzeczy, i często źle otarta lampa lub filiżanka od kawy pozostawiały swoje ślady na przedmiotach które nie powinnyby nigdy znajdować się w sąsiedztwie z nimi. Nie wszystko było wiadome Fryderykowi, żona ukrywała przed nim wszystkie szkody jakie ukryć mogła, z obawy, aby się nie gniewał skoro się dowie że, naprzykład łyżeczki srebrne znikają jedna po drugiej, nie mówiąc już o bieliźnie i innych przedmiotach. Zapobiegłaby temu łatwo gdyby zamykała szafy i gdyby każda rzecz leżała na swojem miejscu, gdy tymczasem dzięki swej niedbałości, nie wiedziała nawet kiedy jej coś zginęło; że zaś Lizeta była zbyt przebiegłą aby dała się schwytać na gorącym uczynku, a Teodora nie miała dość energii aby rozciągnąć nad nią ścisły nadzór lub też ją odprawić, wszystko w domu szło coraz gorzej.

Pewnego dnia Lizeta stłukła filiżankę której Fryderyk używał zawsze i cenił bardzo, jako pamiątkę po swym bracie Hermanie, Teodora wspomniała o tem z żalem będąc u matki męża.

— Jakże się to stać mogło? zapytała z zadziwieniem pani Gahlen. Czy u ciebie służąca myje filiżanki.

— Ma się rozumiéć, wszakże to zajęcie nie do mnie należy, do czegóż trzymałabym Lizetę?

— Staranna gospodyni nie powierza służącej kosztownej porcelany, odpowiedziała surowo pani Gahlen. U mnie zajmują się tem moje córki.

— Ja miałabym pełnić obowiązki pomywaczki! zawołała Teodora obrażona karcącym głosem pani Gahlen. Nie widzę aby to było potrzebne, zwłaszcza gdzie służąca ma tak mało roboty jak u nas. Zbyt cenię czas abym go miała trwonić na podobne zajęcia.

— Czy tak? czas jest dla ciebie zbyt drogim abyś go miała poświęcać na spełnianie twych obowiązków rzekła pani Gahlen z twarzą zaczerwienioną z gniewu. Na próżno powtarzam zawsze, że lubisz zajmować się tylko fraszkami nie przynoszącemi żadnego pożytku, a w domu tymczasem wszystko idzie jak najgorzej. Jeżli umycie dwóch filiżanek wydaje ci się zbyt ciężką pracą, to cóż mówić o innych zajęciach? Fryderyk popełnił prawdziwe szaleństwo żeniąc się z kobietą która go zrujnuje, jeźli to już nie nastąpiło.

Ten wybuch gniewu był naturalnem następstwem złości długo tłumionej przez panią Gahlen. Synowa oniemiela z boleści i oburzenia, patrzyła na nią z przerażeniem, następnie wstała prędko i wyszła. Ale zaledwie znalazła się w sieni, siły ją opuściły i upadła na ławkę omdlewająca ze wstydu i zmartwienia. Zofia i Helena przybiegły tam za nią, całowały pieściły i przepraszały za popędliwość matki ale cios był zadany; Teodora wiedziała teraz z pewnością że matka męża jej nienawidzi, i nic jej pocieszyć nie mogło.

Przez wzgląd na męża, nie wspominała mu nigdy o dotkliwych uchybieniach jakie ją często spotykały, w tym tak dla niego drogim, rodzinnym domu, ale teraz już nie miała siły zamilczéć o tem co ją spotkało, i to dało powód do bardzo żywej rozmowy między matką i synem, który wystąpił śmiało w obronie żony. Jednak ta sprzeczka sprawiła na Fryderyku tak bolesne wrażenie, że Teodora widząc jego smutek, postanowiła że o ile to od niej zależéć będzie, mąż jej nie dowie się nigdy o rozmaitych spotykających ją przykrościach.

Wkrótce jednak musiała znów wysłuchać połajania, ale już z ust Fryderyka. Zbliżał się właśnie dzień urodzin jej matki, i chciała na wiązanie dla niej, zrobić akwarelę podług szkicu przedstawiającego krajobraz z okolic Rzymu. W chwili gdy na zwilżonym papierze rozprowadzała śpiesznie świetne błękitne barwy włoskiego nieba, Lizeta przybiegła z uwiadomieniem, że przyszła pani Krug, żona profesora gimnazyum.

— Idę natychmiast; proś aby zaczekała chwilkę, rzekła trochą niecierpliwie, niezadowolniona z tego że jej przeszkadzano.

Rozprowadziła farby z niezwykłą wprawą i pewnością ręki, zgładziła niektóre kontóry, i zadowolniona ze swego dzieła, od którego teraz już mogła odejść bezpiecznie, wyszła do salonu, i zadziwiła się bardzo nie znajdując w nim pani Krug. Zapytała Lizety co to miało znaczyć, i dowiedziała się od niej, że pani Krug wyszła już kilka minut temu. W pierwszej chwili tak dziwne postępowanie obraziło Teodorę, lecz zapomniała o wszystkiem przy swej akwareli, i prawdopodobnie wyszłoby jej to na zawsze z pamięci, gdyby następnego dnia, Fyderyk, który wrócił do domu w bardzo złym humorze nie przypomniał jej tego zdarzenia.

— Czy mogę zapytać czemu nie chciałaś wczoraj przyjąć pani Krug? gdy przyszła cię odwiedzić?

— Kazałam jej tylko prosić aby czekała chwilkę, ponieważ byłam zajęta.

— Tak, i przez drzwi uchylone widziała cię przy stalugach, rzekł Fryderyk marszcząc brwi. Czekała dość długo, w końcu odeszła nie chcąc ci przeszkadzać, ale łatwo się domyśléć że nie wyraża się korzystnie o twej grzeczności dla żon profesorów. Oskarżają cię o próżność i dumę, czułem to, pomimo grzecznych słówek pana Krug, wyrażającego mi swój żal, że żona jego wybrała się do nas z wizytą w tak niewłaściwej dla ciebie godzinie. Krug jest sprzymierzeńcem Felsinga, obydwaj są mi bardzo nieprzychylni, co jeszcze pogorsza tę sprawę. Na drugi raz niech lepiej twoja akwarela zaschnie przedwcześnie, niżbyś miała uchybić komuś.

Teodora chcąc wynagrodzić swą winę, udała się tegoż samego dnia jeszcze do pani Krug, ale jakkolwiek ta zapewniała ją że nie potrzebuje się usprawiedliwiać, iż nie posądzała jej nigdy o niegrzeczność, Teodora czuła że Fryderyk miał słuszność, i że swą nierozwagą rozżarzyła jeszcze już i tak widoczną niechęć.

Wkrótce znów inne zdarzenie, połączone z przykrem uczuciem zawiedzionej nadziei, powiększyło smutek biednej Teodory.

Sprowadziła z B... w tajemnicy przed mężem płaszcz podbity pięknym futrem, i okryła go nim w rocznicę jego urodzin. Zdziwiony i ucieszony Fryderyk, podziękował jej, a następnie rzekł śmiejąc się:

— Przyznaj, niesumienna żono, że dla ofiarowania mi tak kosztownego podarku, brałaś sobie sute koszykowe, gdy ja z dziecięcą ufnością wierzyłem, w prawdziwość twych skarg nad drogością mięsa i wszelkich artykułów spożywczych.

Teodora zarumieniła się, a czarne jej oczy błysnęły ogniem.

— Byłby to dziwny sposób dawania podarunków! Nie, Fryderyku, te pieniądze były owocem mej pracy. Matka moja sprzedała tom napisanych przezemnie poezyi, i moje autorskie honoraria zostały natychmiast zamienione na to futro.

Twarz Fryderyka zachmurzyła się, i zamiast wyrazić radośne zadziwienie, jak na to rachowała Teodora, zapytał niepewnym głosem:

— Pod jakiem nazwiskiem wydajesz te poezye?

— Ma się rozumiéć że pod tem które noszę, pod nazwiskiem Teodory Gahlen, odpowiedziała z dumą.

Fryderyk chodził po pokoju silnie wzburzony, a następnie zatrzymał się przed żoną i rzekł do niej wymuszonym spokojem:

— Jak mogłaś, moja droga, odważyć się na krok tak ważny, bez zasięgnięcia mej rady? Gdybyś przynajmniej przybrała jakiś pseudonym, a nie występowała z nazwiskiem do którego urodzenie nie nadało ci prawa. Wiesz, że osobiście nie mam żadnego uprzedzenia do kobiet autorek, ale czy zastanowiłaś

się nad tem co powie moja matka, skoro się dowie że podpisujesz twe poezye naszem starem nazwiskiem? Doprowadzi ją to do niepohamowanego gniewu, i wiem że nie przebaczy tego nigdy ani mnie ani tobie. Teodoro, czemu ściągnęłaś na mnie ten nowy smutek.

Teodora nie dowierzała własnym uszom. Przyzwyczaiła się uważać pracę artystyczną i literacką jako największy zaszczyt dostępny tylko dla wybranych; takie wyrażali zdanie ludzie wśród których wzrosła i żyła dawniej. Wiedziała wprawdzie że nie wszyscy zgadzali się na to, czego dowodem były szyderskie żarciki z tak zwanych sawantek, oraz ich, zmyślonych po części, pretensyi do wielkości i sławy, ale nie przywiązywała do tego żadnej wagi, gdyż ci nielitościwi nieprzyjaciele kobiet autorek, uchodzili za ludzi krótko widzących i z ciasnemi pojęciami. Nie spodziewała się aby matka męża przywiązywała jakąś wartość do jej poezyj, ale nie przypuszczała już nic gorszego.

— Jeżeli, odezwała się dotknięta boleśnie, widzisz w tem jakąś ujmę dla twej godności, że nazwisko twoje będzie wydrukowane na okładce książki, czas jeszcze zamienić go na jakieś inne, nie dodozwalające domyślić się prawdziwego. Przebacz że nie przyszło mi na myśl iż dopuszczam się czegoś obrażającego twą godność osobistą. Może kiedyś zdołam zrozumieć twój sposób zapatrywania się na te rzeczy, wyznaję że mi się to nie zdaje prawdopodobnem.

Po tych słowach wyszła niezdolna powstrzymać dłużej bolesnego rozdrażnienia, i chcąc ukryć łzy cisnące jej się gwałtem do oczu. Fryderyk zmiarkował wkrótce że jego znalezienie się i słowa nie były zbyt uprzejme i udał się za żoną chcąc ją uspokoić, ale rana była zbyt głęboka aby ją prędko było można zagoić, bolała ją też długo, jakkolwiek nie czyniła nigdy wzmianki o tej nieszczęsnej sprawie.

W tym samym mniej więcej czasie, Henryk Turner napisał następujący list do pani von Kleist:

Kochana ciotko!

„Przyrzekłem, żegnając się z tobą, że przeszlę ci wierne i szczere sprawozdanie o szczęściu twej córki. Nie dowierzasz temu co sama pisze o sobie, a uwagi Joasi utwierdzają cię w tem powątpiewaniu. Otóż zdaje mi się że Teodora potrzebuje bardzo twych rad macierzyńskich, a więcej jeszcze jakiejś życzliwej pomocniczej ręki, takiej, naprzykład, jak nieocenionej ciotki Polusi, aby ją wyzwoliła z kłopotów jakie ściąga na siebie przez brak doświadczenia. Nie potrzebuje zapewniać iż nie domyśla się wcale że podjąłem się szkaradnej roli donosiciela, i gniewałaby się na mnie gdyby dowiedziała się o tem; ale sądzę że daję tym sposobem najlepszy dowód mego przywiązania tak dla niej, jak do tej która nie troszczy się już o nic na świecie jak tylko o szczęście swej córki.

Przywiązany siostrzeniec,
Henryk Turner."

XVIII.

W dniu egzaminu.

— Moja droga Teo, w przyszłym tygodniu przypada w gimnazyum wielkanocny egzamin; będę potrzebował białej kamizelki, każ mi ją więc uprać zawczasu, rzekł Fryderyk do żony, pracującej gorliwie nad przeznaczoną dla matki akwarelą.

— Dobrze, będę pamiętać o tem.

Nie chcąc spuścić się na swą pamięć wstała prędko aby natychmiast wyjąć kamizelkę i kazać ją uprać Lizecie. Nieszczęściem, podnosząc się śpiesznie, potrąciła stalugi które przewróciły się na podłogę, i upadając tak silnie uderzyły ją w nogę, że przez parę minut ból nie dozwolił jej poruszyć się z miejsca. Spojrzała przypadkiem na akwarelę: z ust jej wyrwał się krzyk przerażenia, i zapominając o bólu, kamizelce i całym świecie, pośpieszyła ratować swój krajobraz, jeżeli tylko ratunek mógł zdać się na co. Piękne ciemno-czerwone farby, dopiero co nałożone przez nią na pierwszym planie, zaszły w skutek upadnięcia na fioletowawe pagórki w głębi, nadając im zdaleka pozór zachodzącego słońca, otoczonego fantastycznemi chmurami, cała akwarela przedstawiała się bardzo niezadawalniające, i Teodora wpatrywała się w nią prawie rozpaczliwym wzrokiem. Wkrótce jednak odzyskała odwagę; zwilżywszy gąbkę zmywała nią delikatnie pagórki które też dzięki umiejętnie prowadzonemu ratunkowi, odzyskały nakoniec swą pierwotną barwę, a nakoniec poprawiła pędzlem, bardzo także uszkodzone ruiny. Uszczęśliwiona tak niespodziewanem powodzeniem, Teodora, pracowała z podwójną gorliwością aby wynagrodzić czas stracony. Dzień urodzin już nadchodził, nie mogłaby więc wykończyć innej akwareli równie starannie jak tej, która kosztowała ją wiele pracy. Nagle przyszło jej na myśl żądanie męża, eh! nic pilnego, ma jeszcze na to blizko tydzień czasu, po cóż się śpieszyć i przerywać sobie tak miłą robotę? Po niejakim czasie pamięć o kamizelce utonęła zupełnie w przedziwnie lekkich chmurkach krajobrazu, który został nakoniec ukończony i przesłany pani von Kleist.

Fryderyk tymczasem niepokoił się gorączkowo nadchodzącym egzaminem mającym się odbywać w obecności kilku członków rady zarządzającej, którzy, jak się domyślał, byli niekorzystnie o nim uprzedzeni przez Felsing'a, nie zaniedbującego żadnej sposobności szkodzenia swemu zwierzchnikowi.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie Teodory, gdy pewnego dnia rano, Fryderyk zażądał od niej białej kamizelki.

— Mój Boże! zawołała uderzając się w czoło, zapomniałam o niej zupełnie. Snuło mi się ciągle w myśli że mam coś zrobić, ale nie mogłam sobie przypomnieć co takiego.

— Znów zapomniałaś! zawołał Fryderyk któremu przyszło zaraz na myśl, jak podobne odstąpienie od form, wytłomaczyliby sobie zwierzchnicy, bardzo drażliwi na wszystko co możnaby uważać za brak należnych im względów.

— Włóż czarną kamizelkę, rzekła Teodora błagającym głosem; daleko ci w niej ładniej niż w białej jakiej dziś już nikt nie nosi, z wyjątkiem profesorów gimnazyum małego miasteczka.

Wybiegła z pokoju i wróciła za chwilę przynosząc mu czarną kamizelkę, którą Fryderyk rzucił z gniewem na stół i zawołał:

— Dzięki twemu niedbalstwu, znajdę się dziś w bardzo przykrym położeniu. Jako od dyrektora gimnazyum, mają prawo wymagać odemnie zastosowania się, nawet w ubraniu, do wszelkich form przepisanych. Zatopiona w ulubionem ci malarstwie który, o ile to ciebie dotyczy, jest tylko zabawką, zapominasz o wszelkich innych rzeczach a przedewszystkiem o mężu. Mogę ubrać się dopiero za dwie godziny, i wychodzę teraz, ale proszę cię abym za powrotem zastał już przygotowaną białą kamizelkę; jak sobie na to poradzisz nie pytam.

Blada i przerażona Teodora, stała na środku pokoju, wpatrując się w męża, który nigdy jeszcze nie uniósł się tak gwałtownym gniewem. Potem pochyliła głowę, jakby przygnieciona ciężarem jego ostrych wyrzutów, i łzy napełniły jej oczy, ale potrafiła je powstrzymać. Wszak zawiniła rzeczywiście, trzeba więc było naprawić swą winę; łzy były tu zupełnie niewłaściwe. Naprawić? Ale jakim sposobem? W B... przyszłoby to z łatwością, bo tam nie brakowało sklepów z gotowemi ubraniami; w M... stawało się nader trudnem zadaniem.

Nagle przyszła jej myśl wyborna, napisała śpiesznie bilecik i posłała go przez Lizetę, z zaleceniem aby go oddała samemu panu Altmanowi.

Nie czekała długo na odpowiedź: w kwadrans później zapukano do drzwi, i po chwili ukazała się w nich twarz okrągła, rumiana i wesoła.

— Czy sama jesteś, kochana Teodoro, rzekł oglądając się na wszystkie strony z udaną obawą, chciałem ci oddać osobiście czego żądałaś odemnie.

— Jakimże dobrym i uprzejmym jesteś bratem! zawołała Teodora biegnąc do niego i odbierając z rąk jego paczkę. Wybawiłeś mnie z kłopotu który ściągnęłam sama na siebie. Czy pani Gahlen wie?

— Za kogóż mnie bierzesz? rzekł Altman rozpromieniony. Nawet moja żona nie zdołała dowiedzieć się odemnie prawdy, pomimo że umierała z ciekawości, widząc że tak rano wychodzę z domu.

— Cieszy mnie to bardzo, rzekła Teodora i odetchnęła swobodniej. Spodziewam się zechcesz teraz wypić kieliszek wybornego wina, które matka przysłała mi niedawno.

Wybiegła i wróciła po chwili niosąc na tacce wino i kieliszki, a w parę minut potem siedząc przy tem improwizowanym śniadaniu, rozmawiali wesoło, zapominając że czas upływa, gdy Altman zadrżał nagle usłyszawszy że ktoś zadzwonił. Gdyby ten gość jakiś powiedział Róży gdzie zastał jej męża!

— Bądź spokojny, to Fryderyk wraca, rzekła podając mu rękę, podziękuje ci sam za twą uczynność.

Omyliła się, nie był to Fryderyk lecz pani Gahlen, która, sztywniejsza jeszcze jak zwykle, zatrzymała się chwilkę na progu, wpatrując się bystro w zięcia i synowę, którzy pośpieszyli naprzeciwko niej.

— Więc to tu trzeba teraz szukać pana, gdy jest potrzebny w aptece, odezwała się ostro, nie odpowiadając na powitanie Teodory. Wiadomo ci przecie, że stary Golden chory; ale wolisz przesiadywać u ładnej bratowej, w czasie nieobecności jej męża.

— Eh! Teodora może powiedzieć po co tu przyszedłem rzekł Alttman szukając kapelusza. Ale już to wiadomo wszystkim że kobiety lubią wszędzie dopatrzeć coś złego, i jestem pewny że Róża znowu zobaczywszy komara, wyobraziła sobie że widzi słonia.

Skinął głową na pół przyjaźnie na pół żartobliwie, i wyszedł ścigany gniewnem wzrokiem pani Gahlen, która gdy już jej znikł z oczu, zwróciła się nagle do synowej.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 32.

(Dokończenie.)

N. 22. Suknia z naszytemi szlakami. Patrz ryc. 31. w N. 31. Krój i przód na arkuszu N. X, fig. 30—31.

Ubranie to odrobione jest z satynki cielisto-różowej gładkiej i deseniowej; na spódnicy plisowanej ciemniejsze szlaki 18 cent. szerokie przystębnowane są w ząb; ażeby na fałdach szlak wypadał równo trzeba go przecinać i przyszywać stopniowo. Tylny bryt sukni od dołu na 70 c. wzdłuż złożony jest w kontrafałdy, wyżej zaś przykryty draperyą odmienną w każdej połowie. Jedna strona składa się z bryta *b* (fig. 30) u góry ściśle sfałdowanego, z lewego brzegu złożonego w dwa pukle podług znaków i zaszytego, poczem brzeg od gwiazdki do gwiazdki zwraca się do dołu i przyczepia na sukni. Drugi bok draperyi widoczny na ryc. 22, składa się z dwóch plisowanych falban, z których wyższa z jednego końca 75 cent., z drugiego 50 cent. szeroka, niższa zaś o 20 c. węższa. Przednie upięcie fartuszkowe wymierza się podług litery *a* na figurze 30.

N. 23 i 32. Sofa ze szlakiem haftowanym. Patrz r. 8 w N-rze 31 i fig. 32.

Ryc. 23 przedstawia sofę krytą deseniowym pluszem, ozdobioną oryginalnym haftowanym szlakiem w deseń w stylu rzymskim, naśladowany ze starożytnego wzoru, odrobionego na materyale podobnym do kanwy kongresowej. Na ryc. 32 daliśmy w naturalnej wielkości część szlaku, którego ciąg dalszy przedstawia fig. 32 na arkuszu z krojami; haft wykonany na kanwie filozelą całkowitej grubości. Wszystkie części deseniu wyszyte są ściegiem gobelinowym, idącym w skośnych rzędach, jak to wskazuje ryc. 3 w N-rze 31. Każdy ścieg zajmuje w prostym kierunku cztery nitki, następny zaś zaczyna się o dwie nitki wyżej, odstąpiwszy wszerz jedną nitkę. Kontury deseniu wyszyte długiemi ściegami, przytrzymanemi drobnemi ścieżkami poprzecznemi.

N. 28—29. Penioar z pelerynką. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—15b.

Przody penioaru składają się pod szyją i wzdłuż ramienia w ośm fałdów, oznaczonych krzyżykami i punktami, w pasie zaś podszyte są listewką i marszczą na tasiemkę; luźne plecy krają się podług fig. 14. Peleryna przykrojona podług figury 15, przemarszczona jest u góry na 14 c. wzdłuż, a na 5 c. wszerz i złączona z penioarem od Y do Z przez wszycie w kołnierz wykładany 8 c. szeroki; na szwie tylnym od gwiazdki dane kilka fałdek. U dołu penioaru dany wolant 16 cent., wyższy 8 cent. szeroki.

Opis do N-ru 33.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1 Suknia koronkowa.

Przez przezroczystą tkaninę naśladującą koronkę Chantylli, przebija podwleczona suknia z materyi kolorowej, na którą do czarnej koronki najwięcej używana jest materya koloru miedzianego, blado lila lub oliwkowego. Na modelu do r. 1 spódnica spodniej sukni pokryta była aż do paska falbanami 18 cent. szerokiemi, wyciętemi w duże zęby a na wierzch dodana była fałdzista spódnica koronkowa nie podpinana i bez garnirunku. Stanik do paska pokryty jest koronką, równo z przodu i na pleckach przymarszczoną i opasany luźno paskiem bawetowo spuszczonym z przodu. Na rękawach w górze i przy ręku, dane bufki koronkowe nie podłożone materyą. Kapelusz koronkowy ubrany kwiatami odpowiedniego do materyi koloru.

N. 2. Suknia z draperyą.

Na gładkiej spódnicy oszytej u dołu szeroką plisą i wązkiemi aksamitnemi pliskami, dana jest w górze z przodu i z boków draperya w bufę spuszczona, z tyłu dopełniona sutem upięciem z dwóch prostych brytów. Gładką podszewkę bawetowego stanika, przykroić podług formy do ryc. 20 w N-rze 32; zwierzchni marszczony materyał, przemarszcza się w górze kilka razy na karczek, około 12 cent. szeroki Kokardy ze wstążki aksamitnej 8 cent. szerokiej.

N. 4. Ubranie dla młodej panienki.

Suknia z zefiru w drobną białą i czerwoną kratkę, z paskiem, mankietami i kołnierzem stojącym z aksamitu bordo, garnirowana jest bardzo sutemi falbanami, w górze drobno plisowanemi, od dołu luźno puszczonemi, oszytemi koronką 4 cent. szeroką. Fartuszkowa tunika, zeszyta z prostych brytów z tyłu upięta w sutą draperyę, w górze złożona jest w 10 kontrafałd, 4 cent szerokich i wszyta w pasek od spódnicy. Przy staniku bluzkowym pod pasek od spódnicy podchodzącym, zasługuje na uwagę niezwykły układ przodów, w których zwierzchni materyał od brzegów przednich na szerokość i wysokość obydwóch zakładek jest wycięty i zastąpiony trzema kontrafałdami 3 cent. szerokiemi, z oddzielnego kawałka zrobionemi i przyszytemi do górnej części przodów, stanowiącej rodzaj szerokiego karczka. Pasek z tyłu zapięty pod kokardą; guziczki małe z konchy perłowej.

N. 6—7. Kokarda ułożona z pukielków z wązkiej wstążki.

Kokardy takie zarówno używane do ozdobienia żabotów, chusteczek, sukien i czepeczków, układa się z wąziutkiej aksamitki lub wstążeczki ottoman, na pasku tiulu 1 cent. szerokim a 19 cent. długim. Na ryc. 7 dajemy próbkę naturalnej długości i szerokości pukielków, które układa się z dwóch brzegów do środka, ściśle i coraz szerzej jeden przy drugim, tak iż się schodzą w środku pod przepięciem.



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z pokryciem koronkowem. N. 2. Suknia z draperyą.

N. 9—10. Ubranie ranne.

Ryc. 9 i 10 przedstawia z przodu i z tyłu ubranie ranne, które podług tego modelu i formy do r. 53 w N. 15 Tygodnika Mód, łatwo odrobić można z gładkiej satynki. Spódnica u dołu oszyta jest falbaną plisowaną, 22 cent. szeroką, przez środek szerokości przestębnowaną, a w górze zakończoną plisą 5 cent. szeroką, ozdobioną wypustką i rzucikiem haftu kolorowego. Plecy vêtement są podszyte listewką do przemarszczenia, w którą nawłóczą się w dwie strony wstążki 4 cent. szerokie z przodu przepasane i na kokardę związane. U dołu vêtement oszyte jest plisowaniem 8 cent. i plisą 4 cent. szeroką; przody zapięte na duże płaskie guziki z konchy perłowej.

N. 12, 3, 15 i 16, oraz ryc. 27 w N. 34. Przykrycie na krzesło, ze szlakiem z siatki gipiurowej.

Szlak podany w naturalnej wielkości na ryc. 27, po brzegach dopełniony szlaczkami ryc. 3, miał tło cienkie siatkowe, robione z nici Broks'a N. 30 a wyszywane takiej samej cienkości nićmi płaskiemi, ściegiem „point de toile" i „point de reprise," a kontury figur, żyłki, gałązki i drobne listki robione były jedwabiem kordonkowym żółtawego, ściegiem sznureczkowym. Odmiennym ściegiem, którego próbkę dajemy na ryc. 15 i 16 wywodzone są potrójnie kielichy cybulkowych i promienie środkowe gwiazdzistych kwiatów, oraz niektóre gałązki. Tło serwety było z materyi surah, a frendzla 9 cent szeroka, przyrabiana do brzeżnych oczek siatki z żółtawego jedwabiu.

N. 13—14 i ryc. 28—30. Kołderki do kolebki albo do wózka dziecinnego. Robota szydełkowa i na drutach.

Rycina 13—14 przedstawia dwie kołderki dziecinne robione w pasy z włóczki angielskiej, szydełkiem i na drutach, które na modelu miały 80 c. szerokości a 110 długości, lecz mogą być podług woli powiększone. Na ryc. 13 widzimy kołderkę z pasów robionych ściegiem tunetańskim i z pasów odmiennego koloru, robionych na drutach, a na ryc. 14 pasy tunetańskie przedzielane są pasami z materyi odmiennego koloru. Na ryc. 28 dajemy w naturalnej wielkości jeden kwadrat deseniowy do pasów tunetańskich; na zdobiące go węzełki przy obrabianiu rzędów od ręki lewej do prawej, daje się w miejscach wskazanych na próbce 3 o: powietrzne, między dwoma oczkami poprzedzającego rzędu, które przy nabieraniu oczek na drut w rzędzie następującym, pozostawia się nie zajęte jako muszka na wierzchu. Wyszycie krzyżykowe i ściegiem długim, daje się filozelą w dwóch cieniach lub w dwóch kolorach. Próbkę szlaczku wązkiego i ząbków dajemy na ryc. 29 i 30.

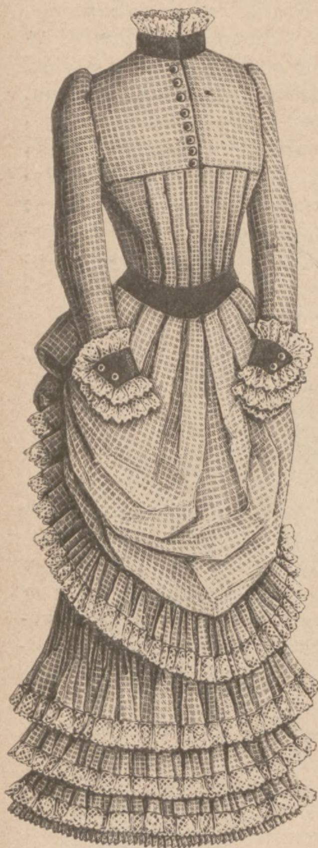
N. 19. Koszyczek do kluczy. Próbka koronki w naturalnej wielkości na r. 10 w N. 34 Tygodnika Mód.

Mały złocony koszyczek 13 c. wysoki, pokryty jest w górnej połowie gładko pluszem, ozdobionym u dołu małemi grelotkami, a w górze przyszytym od środka pod wązką jedwabną torsadką i na wierzch wywiniętym. Koronka cerowana na tiulu i wywodzona nitką złotą, podług próbki ryc. 10 w N-rze 34 Tygodnika Mód lekko nadmarszczona, przyszyta jest do pluszu sznurem kręconym z jedwabiu ponsowego i złota. Ucho koszyczka okręcone jest także sznurem i ozdobione pomponami.

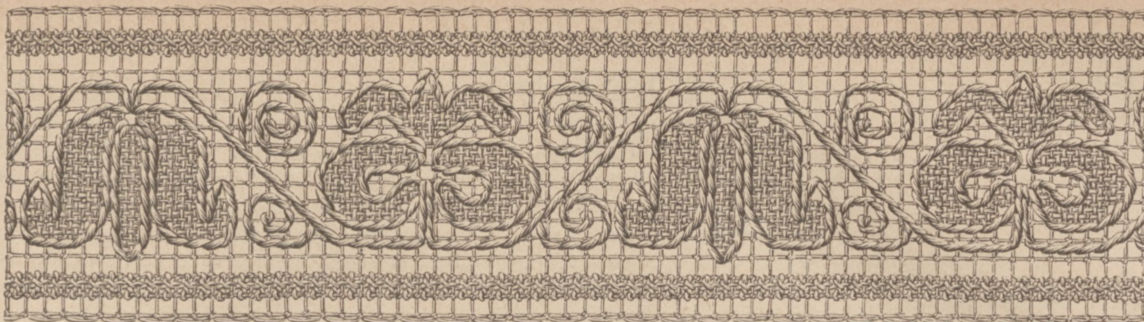
N. 22—24. Spódnica plisowana z draperyą.

W zręcznie sfałdowanej draperyi brzeg dolny przedniego bryta *a* kraje się prosto podług nitki, a zaokrąglone brzegi boczne układa się w fałdy i wszywa w pasek od spódnicy. Dolny i górny brzeg bryta tylnego *b* sfałdować podług znaków zarówno jak i części krzyżykami oznaczone brzegu bocznego, także wszyć w pasek a część środkową tego brzegu, od gwiazdki do gwiazdki, przyszyć z prawej strony

przy rozporku, lewy brzeg tegoż bryta spuścić wolno jak wskazuje ryc. 23. Model do



N. 4. Suknia ze stanikiem gorsecikowo fałdowanym.



N. 3. Szlaczek z siatki gipiurowej, do ryc. 27 w N-rze 34.

ryc. 23 odrobiony był z fularu w drobną kratkę szafirową i blado niebieską; do oszycia służyła aksamitka 2 c. szeroka ciemno szafirowa i niebieska koronka. Ryc. 22 przedstawia taką spódnicę z gładkiej lekkiej materyi.



N. 6. Kokarda z pukli. Patrz rycina 7.

N. 25—27. Spódnica od sukni garnirowana wolantami w kontrafałdy.

Ryc. 25—26 przedstawia spódnicę z zefiru w drobne paski i w drobną kratkę; z tego ostatniego dana spódnica i dwie falbany 24 cent. szerokie, oszyte parę razy wązką aksamitką. Sutą draperyę z materyału w paski, podpina się odmiennie z boków. Bryt przedni oznaczony na modelu literą *a*, z jednej trony podpina się kokardą z aksamitki w ten sposob, iż układają się dwa rogi; na jeden taki róg z lewego boku, widoczny na ryc. 25, dodaje się mały, skośnie ścięty brycik *b* któren od gwiazdki do dwukropka, przyszywa się do bryta *a* i zakłada w fałdy podług znaków. Z tego boku dodane małe „paniers“ upięte z trójkąta trzymającego w prostych brzegach po 45 cent.; tylny przyfałdowany brzeg trójkąta podchodzi pod sutą draperyę tylną, upiętą z bryta *c*.

N. 8. Czwarta część deseniu, do serwetki r. 7, w N. 34.

N. 31 do 32. Szlaczki z narożnikami do haftu ściegiem pojedyńczym na serwetki do mebli, małe serwetki „doilies“ i temu podobne.



N. 9. Ubranie negliżowe. Patrz ryc. 10.

N. 33—36. Bluzka fałdowana i spódnica z draperyą dla panienki lat 10—12.

Krój podszewki do bluzki podług ryc. 7 w N. 28 Tygodnika Mód. Model spódnicy na ryc. 35, model i miary draperyi na ryc. 36.

Na dodatku z krojami do N. 27 i 28 Tygodnika Mód, na fig. 60—62 dana jest forma gładkiej podszewki pod bluzkę, podług ktorej przy krajaniu zwierzchniego materyału, dodaje się do plecków i przodów po 20 cent. na fałdy, które na zeszyciu ramion przedziela pasek przemarszczany 8 cent szeroki. Spódnicę r. 34, ogarnirowaną wązkiem plisowaniem i wolantem 35 c. szerokim, ułożonym w kontrafałdy, przykroić podług małego modelu r. 35, a draperyę tunikową podług modelu i miar podanych na ryc 36. Bluzkę zachodzącą na spódnicę opasuje się paskiem skórzanym zapinanym na metalową klamrę, albo paskiem z tego co sukienka materyału, zapinanym z tyłu na haftki pod kokardą. Widoczne na ryc. 34 naszycie wązkiego sutaszu, można zastąpić szlaczkiem haftowanym, albo pliską z odmiennego materyału.



N. 5. Suknia z bluzkowym stanikiem, dla młodej panienki. Patrz ryc. 32 w N-rze 34.

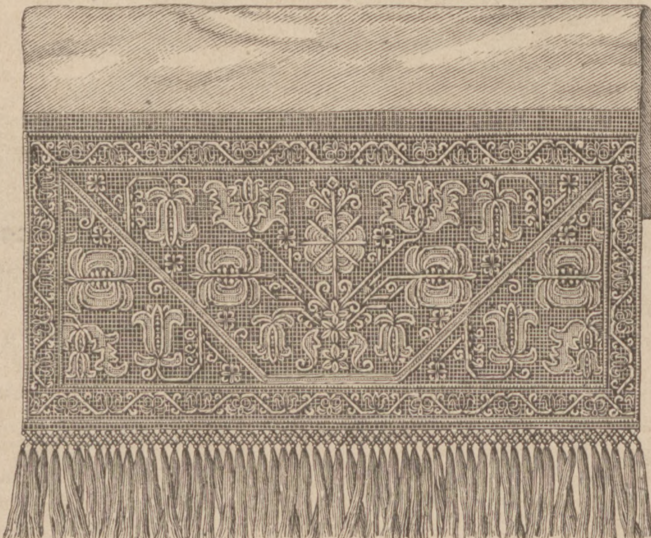
N. 37—38. Ubranie z bluzką, dla dziewczynki lat 8 do 10.

Krój podług ryc. 7 w N. 28 Tygodnika Mód.

Spódniczka sukienki z blado niebieskiej satynki ogarnirowana była trzema falbankami z przemarszczanym nagłówkiem, zakończonemi u dołu stębnowanym obrębem i wązkiem szlaczkiem haftowanym. Pasek spódniczki zachodzącej na bluzkę, podaną oddzielnie na r. 38, pokrywa z wierzchu pasek fałdowany, 8 cent. szeroki, zapinany z tyłu pod kokardą 20 cent. szeroką, upiętą w sposób wskazany na ryc. 37. Kilka razy przemarszczany kołnierzyk z tego co sukienka materyału, oszyty jest w górze haftem, a u dołu ko-



N. 11. Suknia z długim paletocikowym stanikiem. Patrz ryc. 8. w N-rze 34.



N. 12. Przykrycie na poręcz od krzesła, ryc. 27 w N-rze 34 siatka gipiurowa. Patrz ryc. 3.

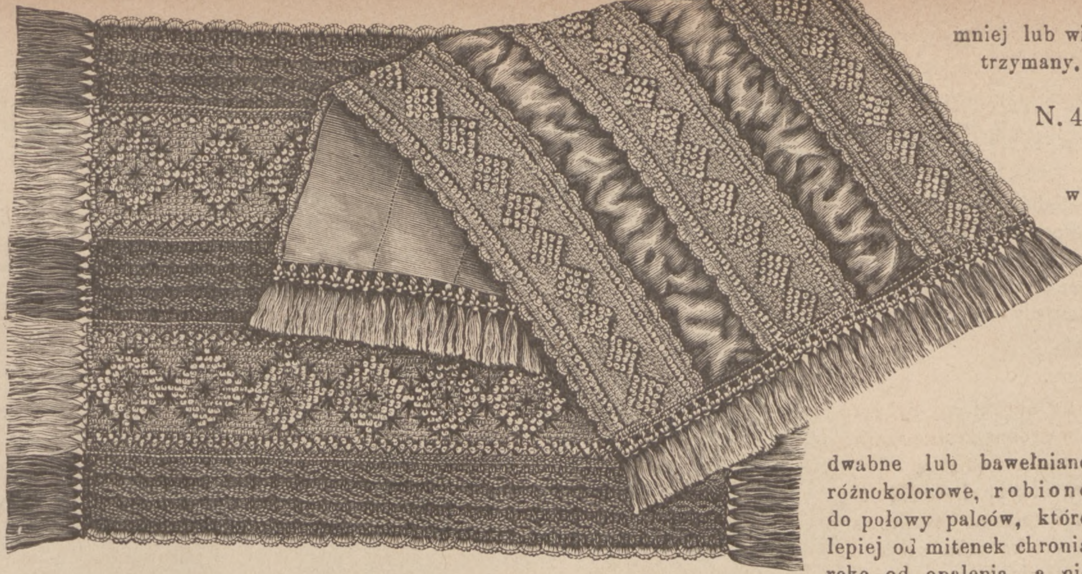
N. 7. Układanie pukli na kokardę r. 6.



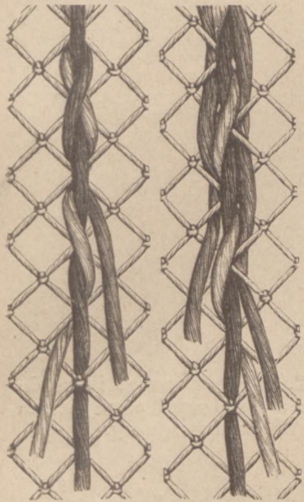
N. 10. Ubranie negliżowe. Przód do ryc. 9.

ronką. Bardzo ładna będzie spódniczka do bluzki, pokryta cała trzema równej szerokości falbanami, z których najwyższą wszywa się w pasek razem ze spódniczką.

N. 41—45. Rozmaite przedmioty należące do ubrania.



N. 13–14. Dwie kołderki do kolebki albo do wózka dziecinnego. Robota szydełkowa i na drutach i łatwe wyszycie. Zobaczyć próbki naturalnej wielkości na ryc. 28—30.



N. 15—16. Próbki wyszywania gałązek do szlaku siatkowego ryc. 13.

N. 41. Szalik sznelowy.

Podczas chłodnych wieczorów letnich, dogodną zarzutkę stanowią szaliki tkane z miękkiej jedwabnej szneli, które wyrabiane są we wszelkich modnych kolorach i deseniach. Model do ryc. 41 mający 178 cent. długości a 47 szerokości, wyrobiony był z ciemno zielonej szneli, między którą wrabiane duże, różno kolorowe pompony; brzegi poprzeczne i jeden brzeg podłużny, zdobi frendzla 12 c. szeroka.



N. 22. Spódnica plisowana z draperyą do sukni. Zobaczyć przód na ryc. 23, a model kroju na ryc. 24.

N. 19. Koszyk na robótki albo na klucze. Zobaczyć koronkę w naturalnej wielkości na ryc. 10 w N. 34.

N. 25. Spódnica do sukni, z draperyą i wolantem ułożonym w kontrafałdy. Przód na ryc. 26. Model kroju na ryc. 27.



N. 20. Czepeczek ze wstążki ottoman i aksamitnej.



N. 23. Suknia plisowana z draperyą. Patrz ryc. 22 i 24.

N. 18. Szlak z dodanemi [illegible]. Haft na płótnie do małej serwet- [illegible] ki w N-rze 34 rycina 13.

N. 42. Gałązka śliwek.

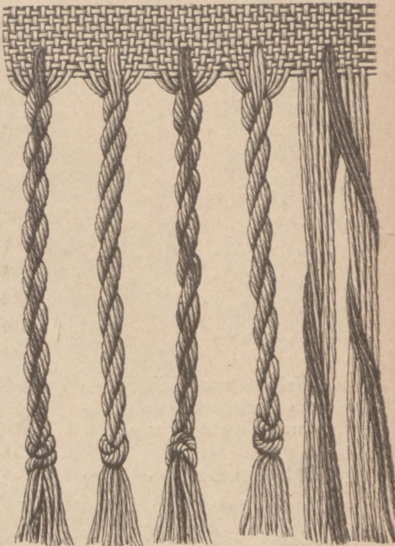
Bieżąca moda kapelusze nasze zamienia w ogródki, w których mieszczą się owoce, kwiaty i jarzyny. Wyrób sztucznych kwiatów i owoców do takiej dochodzi doskonałości że do złudzenia nasladuje naturalne. Ryc. 42 przedstawia gałązkę śliwek i liści, które powinny mieć kolor, farbę i świeżość dopiero zerwanych z drzewa.

N. 43. Rękawiczki muszkieterskie bez rozporka.

Ryc. 43 przedstawia odmienne urządzenie rękawiczek nierozcinanych tylko przymarszczonych na zgięciu ręki, na modelu w miejsce rozporka zapinanego na guziczki, widzimy pięć dziurek, przez które przewleczony sznureczek, może być mniej lub więcej przyciągnięty i maszynką przytrzymany.

N. 44. Rękawiczka z krótkiemi palcami.

Do spacerów na wsi i do zatrudnień w ogrodzie, dogodne są rękawiczki jedwabne lub bawełniane różnokolorowe, robione do połowy palców, które lepiej od mitenek chronią rękę od opalenia, a nie przeszkadzają przy zajęciach w ogrodzie lub przy robótkach ręcznych.



N. 17. Próbka frendzli do ryc. 13 w N-rze 34.

N. 45. Wachlarz malowany.

Pokrycie i oprawa wachlarza są jednakowego koloru. Przy oprawie z drzewa bronzowego koloru pokrycie było z jasnego i ciemniejszego bronzowego atłasu, ozdobione malowanemi stokrotkami, przy których liście i gałązki były bronzowe do cieniu i złote.

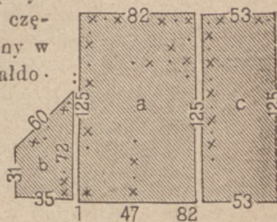


N. 21. Czepeczek z aksamitu i koronki.

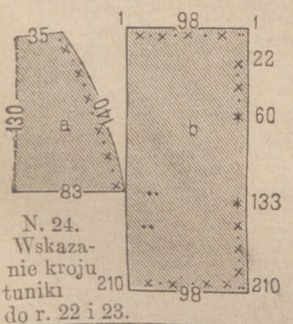
N. 26. Spódnica do sukni, z draperyą i z plisowanym wolantem. Zobaczyć upięcie tylne na ryc. 25.

N. 46, 39 i 40 oraz r. 31 w N. 34. Suknia z vêtement.

Ryc 46 i ryc. 31 w N. 44, przedstawia z przodu i z tyłu suknię, która zarówno może być odrobiona z materyału letniego jak kreton albo satynka, jak i z materyałów wełnianych, przybranych listwami prostemi albo plisami skośnemi z aksamitu, które przystępnować trzeba przed zaplisowaniem spódnicy. Z boku zapięte przody stanika, krają się tylko z długą baskiną, na której odwracanym szwem przyszywa się draperyę, z dwóch części złożoną i z jednej strony w róg spuszczoną i sfałdowaną a z drugiej krótko nakształt panier upiętą, jak na r. 31. Inną fartuszkową draperyę, którą sfałdowaną z jednego boku przyszywa się na staniku, a z drugiego przypina na kryte haftki, dajemy na r. 46.



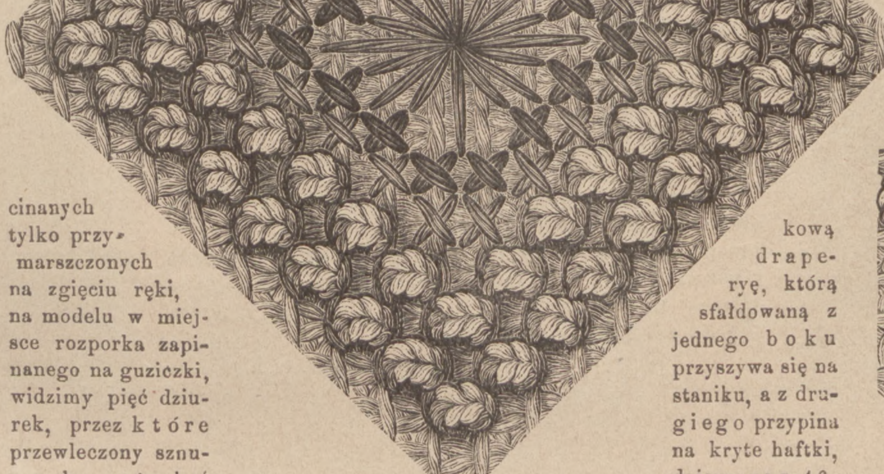
N. 27. Model i miary draperyi do spódnicy ryc. 25 i 26.



N. 24. Wskazanie kroju tuniki do r. 22 i 23.



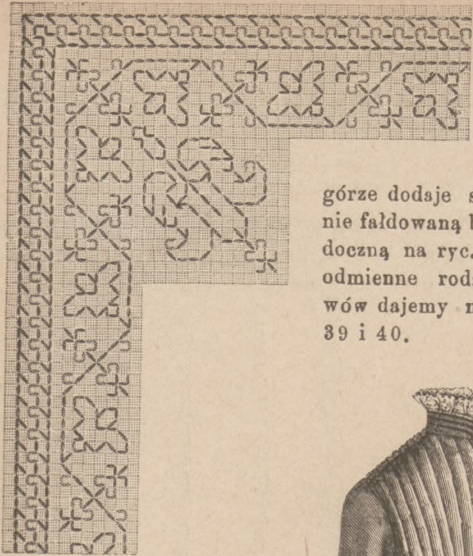
N. 29. Szlaczek brzeżny do kołderki ryc. 13. Robota szydełkowa i wyszycie.



N. 28. Część deseniu do kołderki r. 13 do 14. Robota szydełkowa z łatwem wyszyciem.



N. 30. Ząbki do kołderki ryc. 14. Robota szydełkowa.

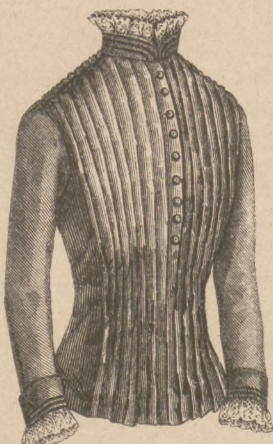


N. 31. Szlak z narożnikiem do wyszycia ściegiem pojedyńczym na dwie strony.

Bryty tylnej draperyi kraje się razem z pleckami, a w górze dodaje się oddzielnie fałdowaną baskinę, widoczną na ryc. 46. Dwa odmienne rodzaje rękawów dajemy na rycinach 39 i 40.

N. 47. Suknia ze stanikiem z bawetem.

Spódnica sukni z niebieskiego zefiru, ogarnirowana czterema wolantami w kontrafałdy układanemi, mającemi około 20 cent. szerokości, przedzielanemi 3-ma falbanami koronkowemi. Górną bufowaną draperyę z przodu i z boków, układa się z zeszytych brytów 66 cent. długich, a 228 szerokich; które składa się w 4 podwójne kontrafałdy, u dołu przyszywa szwem odwracanym na spódnicy, a w górze razem z nią wszywa w pasek. Tylną draperyę upina się z dwóch brytów 70 cent. szerokich a 103 długich. Stanik bawetowy ubrany aksamitką i koronką dopełniony jest z przodu szmizetką fałdowaną z muślinu indyjskiego. Pół krótkie rękawy ubrane także aksamitką i koronką.



N. 33. Bluzka fałdowana dla młodej panienki.



N. 39. Rękaw do sukni, z mankietem dodanym od spodu.



N. 37. Ubranie z bluzką dla panienki lat 8—10. Zobaczyć bluzkę na ryc. 38.



N. 32. Szlaczek z narożnikiem do wyszycia ściegiem pojedyńczym na dwie strony.



N. 38. Bluzka do r. 37.

N. 40. Rękaw z pliskami.



N. 41—45. Różne drobiargi toaletowe.

Opis do N-ru 34.

N. 1. Kołnierzyk marynarski z haftem.

Szlak zdobiący kołnierzyk z płótna, muślinu lub kanwy, może być odrobiony wprost na tle lub na oddzielnym kawałku, przystębnowanym następnie podług formy, jak to właśnie ma miejsce na r. 1. Na ciemno popielatem tle szlaku haft odrobiony bawełną (D. M. C.) ponsową niebieską i żółtą.

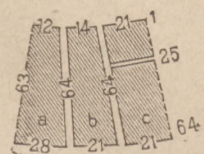
N. 2. Kołnierzyk podwójny.

Spód kołnierzyka stanowi 18 cent. szerokie plisowanie z ponsowej satynki przysłonięte z wierzchu 15 c. szerokim żółtawym haftem, kilkakrotnie przemarszczonym w górze. W około szyi dana stojąca fryzeczka z marszczonej koronki lub langetki haftowanej; z boku kokarda z czterech pukli ponsowej wstążki.

N. 3. Kapelusik podpięty kokardą.

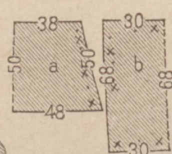
Szerokie rondo kapelusza z cienkiej włoskiej słomki, podniesione w ząb nad czołem i wygięte z tyłu, podszyte jest przemarszczanym w bufki atłasem i podpięte kokardą z wstążki 3 cent. szerokiej. Z wierzchu na rondzie dane żółtawe strusie pióra i kokarda z siedmiu pukli i trzech końców wyciętych w zęby.

(*D. c. n.*)



N. 35. Model kroju spódnicy, do r. 34.





N. 36. Model kroju draperyi do r. 34.

N. 34. Spódnica z draperyą do sukni. Zobaczyć bluzkę na ryc. 33. Model kroju spódnicy na r. 35 a draperyi na r. 36.



N. 46. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 31 w N-rze 34.



N. 47. Suknia z bawetowym stanikiem.